

SPRZĘCHA BIELIŚNIA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

W jednym tomie, ozdobione pięknym odciskiem akwarelowym.

Rocznik pierwszy obejmuje:

ZŁAMANE SERCA — POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH PRZEZ AUTORA
„CHORÓB GALICJI.“

SZERMIERZ PIÓRA — POWIEŚĆ W JEDNEM TOMIE WEDŁUG ORYGINAŁU
OBCEGO PRZEZ H. W.

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERONA — ZE WSCHODU
NA ZACHÓD AFRYKI.

KOŃ TRĘBACZA — NOWELKA LUDWIKA HALEVY.

DWIE MIŁOŚCI — NOWELKA.

SZALONY — OBRAZEK Z ŻYCIA.

ADWOKAT POKĄTNY — NOWELKA ORYGINALNA.

Z ŻYCIA STUDENTÓW — OBRAZEK Z ŻYCIA.

ŻÓŁTA RÓŻA — NOWELLA Z FRANCUZKIEGO PRZEZ HALINĘ.

NAWRÓCONY — NOWELKA.

JANKO MUZYKANT — OBRAZEK.

DRUHY — POWIEŚĆ NAPISAŁ BOHDAN.

O POMOCY NAUKOWEJ DLA KOBIET PRZEZ PANIĄ W. W.

POKUTA — POWIEŚĆ JÓZEFA ROGOSZA.

MAŁŻEŃSTWO PIĘCIODNIOWE — URYWEK Z DZIENNIKA PRZEZ H. W.

POEZYJE — POGADANKI — RÓŻNOŚCI Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

WE LWOWIE.

NAKŁADEM Drukarni Narodowej W. Manieckiego.

1879.



828
III^{or}

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

DO CZYTELNIKÓW POLSKICH!

Począwszy od dnia 1. Stycznia r. 1879, będzie wychodziła we Lwowie *Strzecha Ojczysta*. Nowe to pismo, mające ze *Strzechą* dotychczasową, która z tego powodu z końcem r. b. wychodzić przestaje, tyle tylko wspólnego, że po tamtej odziedzicza dawne, świetniejsze tradycje i wszystkich przyjaciół — wzięło sobie za zadanie, pracować głównie dla Rodziny polskiej, aby uszlachetniać jej zamiłowania i pragnienia. Niwa to piękna, wdzięczna, obszerna, i jak dotąd nietknięta przez żadne z pism w Galicyi wychodzących.

Pomna swego zadania *Strzecha Ojczysta* będzie przynosiła swoim Czytelnikom rzeczy przede wszystkim piękne i dobre, a więc takie, które w każdej Rodzinie polskiej będą czytane z przyjemnością i pożytkiem: wolna zaś od wszelkiej tendencyjności w duchu źle pojmowanego postępu, z całą przezornością będzie wybierała zdrowe ziarna, ukryte nieraz wśród plewy, którą nam wiatry z różnych stron nadnoszą, z postępu zaś tylko to będzie podawać, co doświadczenie uznało za dobre a prawdziwą moralność za uczciwe.

Strzecha Ojczysta przynosić będzie Powieści najcelniejszych naszych autorów, Poezje, Podróże, Opowiadania historyczne, Pamiętniki, Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego, Korespondencje, Bibliografię, wreszcie bogatą Kronikę i Rozmaitości. Pierwszy zeszyt, który na Boże Narodzenie r. b. prasę opuścił, będzie wysłany każdemu bezpłatnie ktokolwiek go zażąda; z tego więc zeszytu czytająca publiczność pozna charakter *Strzechy Ojczystej* i jej wartość literacką. Nie słowa zatem będą mówiły, ale czyny.

Wydawca dołożył starań, aby pismo jego pod każdym względem odpowiadało słusznym wymaganiom czytelników, i dla tego głęboko jest przekonany, że Rodziny polskie, do których odzywa się niniejszem, uznają jego usiłowania i szczerem sercem przyjmą *Strzechę Ojczystą*.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.”

I.

Widziałem ją wczoraj.

Jakby z piedestału greckiego zstąpiła, tak była spokojna, poważna i piękna — a gdy szła przez park cienisty, tyle majestatu było w każdym jej ruchu, że wziętem ją za królową miłości, spieszącą między poddanych z sercem łaską przepelnionem.

Jej kibić była smukła a toczysta, jakby ją wykuło dłuto Praksitelesa; jej kształtna główka, opleciona zwojami czarnych warkoczy, od których jak marmur kararyjski od hebanu, odbijała białość jej twarzy, była Stwórcy arcydziełem; jej oczy duże, ciemne, tajemnicze, przebijając długą

i gęstą osłonę rzęs jedwabnych, spoglądały na świat żałośnie, choć słodko — a jej usta drobne i czasem drgające, były wiecznie zaciśnięte, jakby wstrzymywały porywy bólu, który przemocą rwał się między ludzi.

Na sobie miała suknię czarną, bez połysku i ozdób, którą biały kołnierzyk zamykał pod szyją — w ręce zaś, bezwładnie ku ziemi spuszczonej, trzymała wachlarz z kości słoniowej, która na próżno walczyła o pierwszeństwo z pięknnością jej ręki.

Szła sama jedna, powoli, spokojnie, a chociaż jej spojrzenia padały na drzewa, kwiaty i murawę zieloną, nie sądzę by cośkolwiek widziała. Dusza w sobie zamknięta, żyła w tej chwili światem odrębnym, własnym, wewnętrznym i oczyma na świat nie wyzierała.

Nie była to piękność w poranku młodości,

która jak pączek róży do życia się roztwiera; nie była to piękność w pełnym rozkwicie, która radośnie głowę ku słońcu podnosi; to była piękność jesieni spokojnej, bez namiętności, co jak wulkan zapalają się szybko i giną szybko; piękność zakłeta, na której czas nie zostawił śladów zniszczenia — to była piękność, która nie odurza ale spokojnie zachwyca.

Gdy minawszy aleję cienistą, znalazła się przed kłębem olbrzymim, pełnym róż szkarłatnych, goździków i rezedy wiecznie woniejącej, stnęła między dwiema jodłami, co jak kolumny tumu gotyckiego piętrzyły się ku niebu.

II.

Po drugiej stronie kłęb, w pełnym blasku słońca południowego, stał pałacyk w stylu włoskim, cały u dołu osłonięty powojami wspinającymi się na mury i ciemnymi liśćmi dzikiego winogrodu. Na terasie pierwszego piętra, wśród cytryn i pomarańcz rysowało się kilka postaci niewieścich, które przeglądały listy i dzienniki na stoliku leżące. Między nimi były dwie matrony starsze, poważniejsze, i trzy panienki o złotych lokach, w niebieskich sukienkach i z niebieskimi wstążkami we włosach. Starsza z matron była matką panienek, młodsza ich ciotką.

— O! list do Wandzi! — krzyknęła jedna z dziewcz, list do góry podnosząc.

— Wandziu! Wandziu! — zawołała druga, stanawszy przy balustradzie terasy. — Wandziu, list!

Ona jednak nie słyszała, a stojąc ciągle między drzewami, była z daleka podobną do ciemnego malowidła ze szkoły hiszpańskiej, ujętego w białawe ramy pni jodłowych.

— Szkoda piersi — przemówiła matka — wszak ztąd daleko, panna Wanda nie słyszy.

— Usłyszałaby, gdyby słuchała — rzekła druga matrona — ale panna Wanda nie słyszy, bo ciągle marzy... Ciekawam doprawdy, o czym ona też marzy?

— O swojej boleści, ciciu kochana — odpowiedziała najstarsza z panienek.

— O swojej boleści? — powtórzyła ciocia z przekąsem — alboż można marzyć o boleści? Ręczę, że marzy o czymś wcale innym, i dla tego niezmiernie się dziwię, że panienska w jej wieku...

— Ja jej list zaniosę! — zawołała nagle panna Henryka, najenergiczniejsza między siostrami, chcąc przerwać złośliwe ciotki uwagi.

— Nie ty, ja! — krzyknęła druga siostra.

— Ja! ja! — napierała się najmłodsza.

— Fe, fe — przemówiła znowu ciocia — kto słyszał, aby panienki waszego urodzenia, wysługiwały się osobie, która w waszym domu jest tylko „do towarzystwa.“

— Aby was pojednać — wmięszała się matka — wnoszę, żeby *Azor* list odniósł.

— Dobrze! *Azor*, *Azor*! — zawołały chórem wszystkie siostry.

Na to wołanie, z poza wazonów pomarańczowych, gdzie chłód był największy, wysunął się przesliczny wyżeł czarny, z białą strzątką na czole i białą plamką na końcu ogona. Podniósłszy głowę do góry, słuchał co panna Henryka doń mówiła, z czołem zmarszczonym.

— *Azor*! weź list i odnieś pannie Wandzi, rozumiesz?

Wszystkie panienki zaczęły głaskać jego głowę lśniąca. On zaś machnął ogonem, na znak że zrozumiał, poczem wzięwszy list w białe jak śnieg zęby, zbiegł szybko do ogrodu po schodach kamiennych, mrużąc z radości, że go panienki uznały godnym tak miłego poselstwa.

Stanawszy przed kłębem, spojrział bystro do koła; gdy oko jego dostrzegło pannę Wandę, rzucił się naprzód w szczupakach jak rumak arabski, a minawszy zrećźnie wszystkie kwiaty na drodze, zatrzymał się przed tą, do której go wysłano.

Panna Wanda ujrzawszy *Azora* biegnącego ku niej przez środek kłęb, otrząsała się z myśli smutnych i okiem już na pół wesołem a ciekawem śledziła piękne ruchy wyżła. Gdy przed nią stanął, z piersi dziewczicy wyrwał się lekki okrzyk zdziwienia.

— *Azorku*! tyś mi list przyniósł? Daj go, daj!

Pies podniósł głowę, a wypuściwszy list z białych zębów, wygiął się półciałem i na znak radości najwyższej głośno zaszczeakał.

Panna Wanda spojrzała na adres: był to list od ojca.

III.

Cudowny był wieczór, gdy całe towarzystwo wracało do domu po dalekiej przechadzce w pole.

Przodem biegł *Azor*, nad słuchując niespokojnie nawoływania przepiórek, które przez nikogo niepłoszone, gnieździły się licznie po hreczkach i koniczynach; w pierwszej parze szła panna Wanda z Henrysią cichą zajęte rozmową; za nimi dwie młodsze siostry wybuchały od czasu do czasu śmiechem swobodnym a głośnym, na końcu zaś postępowały obie matrony krokiem poważnym, mierzonym, gawędząc o gospodarstwie domowym.

Po deszczu kilkuniedniowym ziemia oddychała parą ulotną i jak eter przejrzystą, przez którą brzęcząc i dzwoniąc leciały muszki mirjady. Słońce ukryte za gęstym borem dębowym, który osłaniał pagórek przeciwległy, oświetliwszy ostatnim promieniem olbrzymią chmurę, która jak zakłeta zatrzymała się na wschodzie, robiło ją podobną do szczytu Mont-Blanc, gdy jego śnieżna korona ustroi się nad wieczorem w barwę złotą i różową. Po nad tarczą słoneczną na zachodzie,

całe niebo ogniem płonęło, ale im wyżej, tem ciemniejsze były obłoczki, które jak łuska karpia przesuwały się leniwo po niebieskiem tle firmamentu.

Na lewo był gaj brzozowy, między polami ciągnęły się łąki, z których dolatywał zapach siana świeżo skoszonego, w kościele za górą, dzwonek wzywał wiernych po pracy na Anioł Pański, a mała kapliczka stojąca między dwiema topolami na końcu widnokregu, podobna zdala do anioła klęczącego, który podniósłszy skrzydła ku niebu, dziękuje Stwórcy za dary ludziom zsyłane, zamykała obrazek sielski pełen prostoty i swobody.

— Czy twój ojciec dziś przyjedzie? zapytała Henrysia.

— Nie wiem czy dziś czy jutro, ale w każdym razie bardzo prędko. W liście który rano otrzymałam, pisze mi, bym się go spodziewała każdej godziny....

— Kochasz ty bardzo ojca?

— Czy ja go bardzo kocham! — odpowiedziała Wandzia z takim naciskiem i twarzy wyrazem, że młoda jej przyjaciółka uczuła się zawstydzoną.

— Przepraszam cię — rzekła Henrysia, biorąc ją za rękę — że ci zadałam pytanie może niestosowne, ale ponieważ ja ojca nie mam, i ani go pamiętam, bo gdy umarł miałam dopiero trzy lata, więc przyznaję się, że nie wiem jakiego rodzaju jest to uczucie, którem córka ojca kocha.

— W tem uczuciu, moja Henrysiu, łączą się wszystkie najwznioślejsze, począwszy od miłości, a skończywszy na uwielbieniu.... Nigdy córka nie ukocha tak szczerze i potężnie swej matki, jak ukocha ojca szlachetnego.... Miłość dla ojca jest bez granic, zwłaszcza gdy on jest istotą jedyną, która nam została i która nas kocha....

— Przecie ty tego o sobie nie możesz powiedzieć? — podchwyciła panna Henryka.

— O! jeżeli kto, to właśnie ja moja droga... Mnie prócz ojca nikt nie kocha.

— Jak to, nikt? A ja, a moje siostry, a tyle innych osób, które cię bliżej poznały?

Panna Wanda gorzko się uśmiechnęła.

— Moja droga — odpowiedziała spokojnie a poważnie — miłość jest dopiero wtedy prawdziwą i pełną, gdy osoba która nas kocha i którą my kochamy, zostaje z nami na zawsze. Miłość którą rozdzielają góry, rzeki, a przede wszystkim ludzie i stosunki różnorodne, taka miłość moja droga to zaledwie cień rzeczywistości. Dziś kochasz mnie, wiem o tem, ale jutro czy o mnie nie zapomnisz? A choćbyś i pamiętała, to czy w sercu twojem nie usunęła bymnie na stanowisko podrzędne miłość dla twojego męża przyszłego? Ja zaś moja Henrysiu jestem tak wymagającą, że żądam, abym u tych, którzy

mnie chcą kochać, była ciągle na pierwszym miejscu. To zabawne, nieprawdaż, i dla tego to obok ojca nie widzę drugiej istoty, któraby chciała poddać się temu kapryswi....

Panna Henryka odgadła całą żalność zawartą w słowach swojej przyjaciółki, to też kierując się wrodzonym uczuciem delikatności, nie pytała o nic więcej, i szła dalej milcząca, z oczyma ku ziemi spuszczone.

Gdy towarzystwo zbliżyło się do alei topolowej, na której końcu widać było trawnik, a po drugiej jego stronie pałacyk, panna Wanda krzyknawszy głośno: „Mój ojciec!“ szybko w głąb alei pobiegła. Henrysia widząc to, zatrzymała się na drodze, aby połączyć się z resztą towarzystwa.

Od strony domu nadchodził w rzeczy samej mężczyzna jak gołąbek siwy i szczupły, którego może nie tyle wiek co życie tak do ziemi przyniotło, że wydawał się znacznie niższym niż był w rzeczywistości.

— Mój ojczulku! Mój tatuńciu! — powtarzała Wandzia, okrywając pocałunkami ręce swojego ojca.

— Że też wy kobiety nigdy loiki nie macie! — odpowiedział staruszek, córkę w czoło całując.

— Teraz cieszysz się, a poczekać na ojca toś nie umiała.

— Nie wiedziałam, kiedy ojczulek przyjedzie...

— Nie wiedziałaś! A gdzie loika? Czyż nie pisałem żebyś się mnie spodziewała każdej godziny?

— Prawda, ale ponieważ list dopiero dziś rano otrzymałam, więc byłam pewną, że tatko jutro przyjedzie.

— A to loika! Przecie każdej godziny, to nie jutro... Już to Bogiem a prawdą kobiety nigdy nie nauczą się myśleć logicznie! Czyś się zebrała do drogi?

— Ja? Nie...

— Czemu?

— Bo nie wiedziałam, że będę musiała wyjechać...

— Otóż to loika! Jeszcze przed trzema miesiącami pisałem, że po nią przyjadę, a teraz gdy przyjechał, ona nie gotowa.

— Właśnie dla tego, że ojczulek pisał przed trzema miesiącami, później zaś o tem nie wspominał, byłam pewna, że plan się odmienił...

— No i niech tu kto powie, że kobieta wie co loika! Dla tego, że jednej i tej samej rzeczy ciągle nie powtarzał, już jej się zdawało, że plan odmienił. Doprawdy to nie do zniesienia!

Staruszek domówił tych głosem drżącym i rozdrażnionym; córka zamiast odpowiedzieć pocałowała go raz jeszcze w rękę, a tymczasem nadeszło towarzystwo i zaczęły się powitania.

I-V.

Ojciec Wandzi, pan Stanisław Wybicki, nie był całe życie takim jak dziś nudziarzem. Dawniejszemi laty należał on do ludzi wesołych i przyjemnych; dopiero walka o chleb codzienny, zawody i straszliwe nieszczęścia, odarty z jego żywota ostatnie liście wesela, tak że została tylko łodyga sucha, na którą jedni spoglądali ze wstrętem, inni z politowaniem, a rzadko kto ze współczuciem.

O! bo też smutne było jego życie.

P. Wybicki pochodził z rodziny możnej, senatorskiej, której znakomitsi członkowie, biorąc czynny udział w Konfederacji Barskiej, bądź w bitwach poginęli, bądź na tułaczce pomarli. Po śmierci Wojewody Wybickiego, którego kości spoczywają w Wielkopolsce, pod prostym kamieniem na cmentarzu kościoła w Brodnicy, z rodziny całej zostali Stanisław i brat jego starszy, Ludwik, który po śmierci rodziców objął majątek i opiekę nad młodszym bratem.

Gdy wybuchło powstanie w roku 1830, bracia zaciągnęli się w szeregi, ale nie obadwa wytrwali do końca. Starszy, młodzieniec dwudziestopięcioletni, otrzymawszy lekkie pchnięcie bagnetem, odjechał do domu, aby się leczyć; młodszy zaś, mimo że miał ledwie lat dwadzieścia i mimo że po dwakroć był ciężko raniony, wracał każdym razem z lazaretu do pułku, a gdy niedobitki armji polskiej schroniły się za granicę, nie mogąc porzucić towarzyszków broni, poszedł razem z nimi tułać się po świecie.

Odtąd zaczęła się ciężka dola.

W Niemczech młody chłopiec nie zabawił długo. Bez pieniędzy i nadziei rychłej pomocy, przyjął z konieczności u pewnego magnata saskiego służbę masztalerza, bo lubił konie i jeździł wyśmienicie. Z początku podobał mu się ten zawód, ale gdy raz, drugi i trzeci doznał od swego chlebobdawcy przykrości niezasłużonej, oburzyła się w nim cała duma szlachcica polskiego. Nie zastanawiając się nad tem, co nastąpi, porzucił obowiązek, który go poniżał, a wzięwszy kilkanaście talarów zaoszczędzonych, wyruszył do Hamburga, z kąd wkrótce odplłynął do Londynu. Jego towarzysze broni udali się prawie wszyscy do Francji, gdzie ich gościnnie przyjęto; on jednak nie chciał pociągnąć za nimi, bo lubo młody, dobrze rozumiał, że im więcej będzie wychodźców w jednym kraju, tem trudniejszym będzie ich życie.

W Anglii wilgotnej, zimnej, kupieckiej, obliczającej wartość ludzi i rzeczy na szterlingi, młodzieniec jak p. Stanisław, który nie umiał ani języka krajowego, ani rzemiosła żadnego, przedstawiał zaledwie wartość prostego wyrob- nika. Kilka też dni błąkał się wzdłuż Tamizy i po czarnych ulicach olbrzymiego miasta, a gdy

ostatni talar zmieniony na pensy ulotnił się na zawsze, nie namyślając się dłużej poszedł do przystani, gdzie najął się do noszenia węgla i towarów.

Pracując od rana do ciemnej nocy i przed nikim nigdy się nie skarżąc, p. Stanisław wyrabiał się coraz bardziej. Już kampanja oddziałała dodatnio na umysł młodzieniaszka; później praca miała uzupełnić jego wychowanie. Wygody domu rodzicielskiego i wesołe chwile w gronie sąsiadów spędzane — wszystko to pierzchnęło, jak mara senna; teraz zaś pozostawała rzeczywistość zimna, nieubлагana, bezlitośna, jak serce dyplomaty angielskiego. Wśród takich stosunków hartował się duch młodzieńczy.

Między wychodźcami politycznymi każdego narodu, znajdują się zawsze tylko ostateczności: najlepsi i najgorsi. Ludzi pośrednich prawie nigdy nie ma. Dobrzy idą w bój a potem na tułactwo, bo im tak nakazują ich przekonania; źli zaś spieszą za pierwszymi jedynie aby coś zarobić, lub dogodzić poziomym namiętnościom. Dobrzy będą dobrymi do końca, a wzmocniwszy się wśród ciężkiej walki życia, stają się potem chlubą narodu, który ich wydał; źli, padając coraz niżej, ściągają na swoją głowę powszechnie złorzeczenia, a wśród obcych własny naród hańbą okrywają.

Stanisław Wybicki należał w kraju do pierwszych i takim na obczyźnie pozostał. Lat kilka pracował na chleb, jak prosty wyrobnik, to węgle nosząc, to przy murarzach cegłę podając, to lampy zapalając; a chociaż w tym czasie niejednokrotnie zgłaszał się do brata, który w kraju został, pomocy od niego nigdy nie otrzymał. Z początku brat wcale nie odpowiadał na listy; później odpisał mu krótko, że z powodów politycznych stosunki jego majątkowe znajdują się w stanie jak najgorszym, zakończył zaś prozbą, by Stanisław jak najradziej doń pisywał, ponieważ władza niechętnem patrzy okiem na tych, którzy z wychodźcami korespondują. Stanisław niezdolny sam do kłamstwa, zawierzył bratu na słowo i już odtąd raz tylko na rok posyłał list, nigdy go o pomoc nie prosząc.

Na schyłku roku ósmego, władając już wszechstronnie językiem angielskim, wstąpił do kantoru pewnego kupca, nazwiskiem Brown, który w Indjach miał wielkie plantacje bawełny i herbaty, a chociaż wynagrodzenie za pracę całodzienną bardzo było skromne, położenie jego terażniejsze było prawie świetne, ponieważ odtąd mógł siedzieć przy biurku, co w porównaniu z dawniejszem zajęciem robotnika, było istnym rajem

V.

Master Brown miał sklep bardzo wspaniały, ogromne magazyny, własny pałac, nieograni-

czony kredyt w Banku londyńskim, rozległe posiadłości w Indjach, reputację milionera i jedynaczkę, jasnowłosą Ellen, którą ubóstwiała najbogatsza młodzież z City.

Ale Ellen była spokojna, obojętna, zimna, jak jej matka. Ilekroć usłyszała, że ten lub ów za nią szaleje, zwracała się do miss Mary, mówiąc:

— Jaki on śmieszny!?

— Czemu śmieszny? — odpowiadała miss Mary.

— Bo mnie kocha, kiedy ja go nie kocham.

— To raczej powiedz, że nieszczęśliwy. Ty nie wiesz, Ellen, jakie to nieszczęście kochać bez wzajemności.

— Ja takiej miłości wcale nie rozumiem — odpowiadała miss Ellen, uśmiechając się na pół ironicznie, na pół z politowaniem. — Od czego rozum?

— Gdy serce mówi, rozum milczy.

— Żarty, żarty, moja Mary.

— Proś jednak Boga — kończyła miss Mary, abys nigdy nie potrzebowała zgłębiać doniosłości takich żartów.

Miss Ellen Brown wychowywana najpierw przez matkę, w której piersi nigdy gorętsze nie zawrzało uczucie, następnie zaś przez ojca, zimnego jak lód kupca, dla którego cyfra była wszystkim, nie rozumiała swojej dalekiej krewnej i przyjaciółki, ciemnowłosej Mary, która po matce Irlandce odziedziczyła krew gorętszą i tradycję cierpień. Wprawdzie i Mary była jeczcz młoda i niedoświadczona, ale mimo to instykiem kobiecym pojmowała ona, że w życiu mogą na nas spaść takie boleści, przeciw którym nie podolają ani rozum, ani siła woli.

VI.

Stanisław Wybicki, przyjęty przez zastępcę właściciela domu handlowego, siedział raz w godzinach porządkowych, aby pokończyć całodzienne rachunki, gdy do kantoru wszedł master Brown. Zastawszy młodzieńca, na którego przedtem nigdy uwagi nie zwracał, stanął za jego krzesłem i spojrzął na rachunki.

Stanisław pisał bardzo starannie, i książki utrzymywał w porządku wzorowym. Kupiec przypatrywał się cyfrom długo i uważnie; potem odstąpiwszy na bok, spojrzął na siedzącego. Młody człowiek miał profil szlachetny, ciemne włosy spadały na wysokie czoło w beładzie harmonijnym, a chociaż szafirowe jego oczy na książce spoczywały, kupiec poznał po ich błyskach przelotnych, że pomocnik jego rachmistrza nie jest Anglikiem i pochodzi ze szlachetnej warstwy społecznej.

Master Brown, zajmując się handlem od dziecka, nie lubił takich urzędników, którzy na widok przełożonych, z wielkiego dla nich szacunku

przerywali swoje zajęcie. Francuzi i Niemcy, których miewał w kantorze, zawsze tak postępowali; pierwsi z wygórowanej grzeczności, drudzy z serwilizmu. P. Stanisław, jakby wiedział, że jego pryncypał chce widzieć w kantorze li urzędników pracą zajętych, ani spojrzął na stojącego i dalej liczył. Kupcowi podobało się to niezmiernie.

Gdy tego wieczora młody człowiek wychodził z kantoru, pojawił się służący z oznajmieniem, że master Brown prosi go do swego gabinetu. Stanisław poszedł, nie przeczuwając, jakie będą następstwa tych zaprosin.

Gospodarz przyjął go grzecznie, ale chłodno. Mimo że nie był lordem, lecz zwyczajnym kupcem, jakich Anglja liczy na tysiące, nie zapomniał ani w sposobie mówienia, ani w ruchach o dumie wielko-brytańskiej. Wybicki znając już dobrze Anglików, wcale się tem nie czuł dotknięty, a że sam był młodzieńcem dobrze wychowanym i roztroptym, więc odpowiadając na pytania, był nad wszelki wyraz grzeczny, chociaż bez uniżoności poniżającej. Zapewne kupcowi i to się podobało, bo otrząsając się powoli z lodów, w które ustroił się na początku rozmowy, ożywił się coraz bardziej, a nawet dwa razy uśmiechnął się przelotnie, gdy młody człowiek dość humorystycznie zaczął opowiadać pierwsze miesiące swego pobytu w Londynie. Z wszystkiego jednak najwięcej interesowały Anglika szczegóły o rodzinie Wybickich, tak że po kilkakroć kazał je sobie powtarzać; Stanisław mówił dość długo, gdy zaś wspomniał o Wojewodzie Wybickim, dodając, że każdy Wojewoda mógł od nowego rządu domagać się tytułu hrabiowskiego, master Brown zapytał:

— Czy w razie otrzymania tego tytułu, sam tylko Wojewoda byłby go używał, czy także cała jego rodzina?

— Cała rodzina, idąca od niego w prostej linii... chyba, żeby była sama nie chciała.

— A sir jak jesteś spokrewniony z owym Wojewodą?

— Jestem jego wnukiem.

Kupiec porobił sobie jakieś notatki, a żegnając młodego człowieka, podał mu rękę, co u niego było oznaką najwyższej łaskawości.

Nazajutrz master Brown udał się do swojego adwokata, z którym miał dłuższą naradę; tego samego dnia adwokat napisał obszerny list do pewnego Anglika, mieszkającego w Warszawie, prosząc go, by mu w czasie jak najkrótszym przysłał szczegóły odnoszące się do rodziny Wybickich, jak również by mu doniósł, jakie powody zmusiły p Stanisława Wybickiego do wyjazdu za granicę.

We dwa miesiące master Brown otrzymał wiadomości, których pragnął. Przeczytawszy list

uważnie, rzekł do siebie: „Dzielny chłopiec!“ i poszedł do kantoru, aby w tym dniu Stanisława osobiście zaprosić na obiad.

Młody człowiek, który w tych dwóch miesiącach już był zapomniał o pierwszej swojej wizycie u pryncypała i jak dawniej stawiał zimne cyfry w księgach kupieckich, na zaprosiny zrobił duże oczy, lecz otrząsnąwszy się ze zdziwienia, pospieszył przebrać się stosownie.

W godzinę później piękny młodzieniec siedział przy stole pryncypała, bawiąc wszystkich swoją rozmową. Uszczęśliwiony, że po latach kilku znalazł się znowu w towarzystwie osób dobrze wychowanych, odzyskał ten humor niegdyś tak miły, dla którego kochali go nawet w obozie szorstcy broni towarzysze.

Miss Ellen słuchała mówiącego z zimną obojętnością; czasem tylko, gdy on zwrócił się do ojca, jej oczy niebieskie podnosiły się ku niemu, aby po chwili znowu spocząć na bukiecie, którym stół był ozdobiony.

Miss Mary uśmiechała się swobodnie, a przezywając gościowi często rozmowę, zaczęła mu raz nawet silnie oponować, gdy on ośmielił się powątpiewać o tkliwości serc angielskich.

— W obronie mężczyzn nie występuję — rzekła przy końcu — bo oni jako silni mojej obrony nie potrzebują, ale za to w imieniu wszystkich kobiet muszę żądać, byś nas sir przeprosił. Wierz mi sir, im goręcej kto czuje, tem mniej okazuje...

Po takim zapewnieniu młody człowiek uznał za niezbędne przeprosić obie damy i nie tając, że obrona kobiet podjęta przez Miss Mary zupełnie go przekonała, przyrzekł nie odzywać się na przyszłość z podobnemi zdaniem.

Master Brown zaśmiał się na całe gardło, co u niego było rzeczą nadzwyczajną; mis Ellen przymrużywszy oczy spojrzała na gościa z pod rzęs długich, a mis Mary na znak zgody podała mu rękę.

(C. d. n.)

SZERMIERZ PIÓRA.

Powieść

WEDZUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

Piękny dzień styczniowy zajaśniał nad miastem amerykańskim, położonem nad brzegiem Missisipi, które lat temu niewiele składało się z kilkudziesięciu zaledwie domów drewnianych, na prędcie od siekiery zbudowanych; dziś zaś dzięki pracowitości i przebiegłości mieszkańców, również jak wielkiemu bogactwu co do płodów surowych samego kraju, liczy ono tysiące domów murowanych, pałaców wspaniałych, tudzież odznacza się handlem rozległym i przemysłem wszechstronnym.

Słońce w godzinie południowej biło jaskrawo w okna o wielkich szybach zwierciadlanych pałacyku wiejskiego, który zbudowany na pagórku trochę opodal, zdawał się

panować ze swojej wysokości nad całym miastem; tem bardziej, że odznaczał się niezwykłą pięknnością budowy, jak niemniej precudnym ogrodem, który zajmował cały pagórek. Miasto i piękna okolica, były jakby umyślnie rzucone u stóp pagórka, żeby służyć pysznemu pałacowi za panoramę.

W salonie, a raczej w *parloarze* — bo tak nazywają w Ameryce salony recepcjonalne — urządzonym bogato, z gustem i wszelkimi wygodami, które każdy zamożny Amerykanin uważa za niezbędne do życia, siedziała na fotelu przed kominkiem młoda osoba w eleganckim ubraniu domowem.

Mogła mieć najwięcej lat ośmnaście do dwudziestu; podparłszy kształtną główkę na rękę, oświetlona ogniem na kominku płonącym, słuchała z uwagą siedzącego naprzeciw mężczyznę. Pyszny włos kruczy otaczał twarzyczkę o liniach najczystszych, prawie posagowych. Płec delikatna, przezroczysta, o lekkim tylko rumieńcu, który podobny był do puszkę brzoskwiniowego i robił twarzyczkę bladawą, duże czarne oczy o blasku djamentowym, z prześliczną brewką aksamitną i długą rzęsą, usta maleńkie purpurowe, wszystko składało się na całość tak harmonijną, że młoda dziewica miała wszelkie prawo być uważaną za piękność skończoną. A jednak czegoś nie dostawało tej twarzyczce. W jej rysach nie było swobody młodocianej, nie było dziewiczej nieśmiałości i jakby nieświadomości samej siebie, która dodaje tyle uroku panience ośmnastoletniej, brakowało jej miękkości i wyrazu dobroci, łagodności, które tak są kobiecie właściwe, że bez nich staje się ona prawie anomalią w społeczeństwie.

W całej tej postaci przebijała zimna rozważa, spokoj niezachwiany, ufność w siebie i duma niczem niepokonana. A przecież, czoło było zanadto gładkie i młode, oczy zbyt promieniste, żeby można było przypuścić, że ta niezwykła powaga była skutkiem smutnych doświadczeń, że burze i troski złamały to młode życie i serce przedwcześnie lodem ścięły. Była to więc sztuczna, że tak powiem wyuczona powaga, która robiła postać całą imponującą, lecz odejmowała jej wdzięk i urok prawdziwej kobiecości, na czem uroda młodej panienki wielce traciła.

Młody człowiek siedział również na niskim fotelu, ubrany bez zarzutu, w najwykwintniejszym stroju wizytowym. Było pewne podobieństwo w powierzchowności obojga, więcej jeszcze moralne, niż fizyczne. Włosy i oczy mieli jednakowego koloru, ale główne podobieństwo uderzało w ich wspólnych usposobieniach. Młody człowiek był równie zimny, konwencjonalny, zadowolony z siebie najwidoczniej i dumny niepospolicie. U mężczyzny jednak, wady te mniej raziły i mniej ostro występowały; umiał je pokrywać pewną dyplomacją i gładkością form towarzyskich, na co młoda dziewica wcale się nie siliła. Był on równie piękny jako mężczyzna, a mimo to piękna ta para odtrącała prawie od siebie tak w nich nie było sympatycznego, tak byli oboje trzeźwi, zimni i jak się zdawało, bez iskry czulszego uczucia. Żywa rozmowa toczyła się widocznie między nim a młoda damą, którą tak dalek prowadził:

— Mój ojciec znajduje, że ta przejażdżka po Europie jest koniecznie potrzebną do mego wykształcenia ostatecznego w zawodzie kupieckim, a ja tem chętniej ulegam jego życzeniom, że podróż taka obiecuje mi wiele rozmaitości, i budzi we mnie prawdziwą ciekawość. Zabawię najprzód dłuższy czas w Nowym Jorku, dokąd powołują mnie interesa domu naszego, które wymagają osobistego załatwienia, a przy końcu Marca popłynę do Europy. Rok mi wystarczy, by poznać dokładnie Anglię i Francję, zwidzić następnie Niemcy a wracać na Szwajcaryę i Włochy, bo nie mógłbym przecież wracać do kraju, nie zwidziwszy tej kolebki sztuk pięknych. Na przyszłą wiosnę spodziewam się na pewno być z powrotem.

Młoda dama słuchała z widocznym zajęciem planu podróży, rzuconego tak od niechcienia w kilku zaledwie słowach; spuściła rękę a podnosząc głowę i oczy rzekła:

— Istotnie, czeka pana rok nader przyjemny i bogaty w doświadczenia. Ojciec mój będzie szczerze żałować że choroba nie dozwoliła mu widzieć pana i pożegnać go przed odjazdem.

— Ja to żałuję niesłychanie, że cierpienia pana Forest nie pozwalają mi złożyć mu osobiście mojej wizyty i zarazem wyrazów pożegnania. Czy mogę prosić panią żebyś raczyła mu to w moim imieniu powtórzyć?

Skinęła lekko głową.

— O najchętniej! a tymczasem przyjm pan odemnie serdeczne życzenia podróży przyjemnej i powrotu szczęśliwego.

To mówiąc podała mu spokojnie dłoń przyjazną; młody człowiek, mimo całego chłodu zadrzał przy dotknięciu tej pięknej, zimnej ręki, oczy jego zapłonęły żywszym ogniem, przytrzymał ją, a ściskając silnie w swojej dłoni:

— Miss Forest, zapytał czy pozwolisz mi zadać jedno pytanie?

Chwilkę przelotną pokrył silniejszy rumieniec twarzy młodej damy, lecz znikł równie prędko.

— Mów pan.

Powstał szybko, stanął tuż obok niej, a trzymając ciągle jej rękę:

— Może źle czas wybieram, do podobnego oświadczenia — rzekł — ale wiem aż nadto dobrze, że miss Forest jest celem upragnionym tyłu nadziei, że będę miał mnóstwo rywalów, którzy mogą nieobecnemu wiele zaszkodzić... Daruj mi więc pani, że osmielałem się mówić ci teraz wyraźnie, o mojem przywiązaniu, które zapewne nie było dotąd dla ciebie tajemnicą. Czy mogę mieć nadzieję, że moja prośba zostanie wysłuchaną, i że za moim powrotem wolno mi będzie tę drogą rączkę uściskać na nowo i zachować na życie całe w mojej dłoni?

Zaczął tonem spokojnym, prawie urzędowym, powoli jednak w słowach jego przebijało się coraz więcej życia i ciepła, zdawało się, że tylko z trudnością przymusza siebie do pozornej obojętności, a gdy skończył oczy jego spoczęły pełne niepokoju na twarzy młodej dziewczycy, chcąc wyczytać z jej rysów, jaką mu da odpowiedź.

Miss Forest słuchała w milczeniu. Nie okazywała ani zdziwienia, ani dziewczęcego pomieszania, nawet naj-

mniejsza zmiana w rysach twarzy nie zdradziła, jak przyjmuje to oświadczenie, przychylnie, czy nie przychylnie? Gdy skończył, podniosła na niego swe piękne oczy, których zimny wyraz dziwnie odbijał od wzroku pełnego trwogi i oczekiwania w nią utkwionego; wreszcie odpowiedziała całkiem spokojnie bez najmniejszego wahania:

— Jak jest szczerem i otwartem pytanie twoje, panie Alison, taką też będzie moja odpowiedź. Znam od dawna twoją skłonność ku mnie, podzielam ją, a gdy wrócisz oddam panu moją rękę z całą ufnością w przyszłość patrząc.

Promień radości rozjaśnił twarz Alisona, lecz zmusił się wnet do dawnego zimnego wyrazu, jak gdyby wstyd mu było wzruszenia mimowolnego.

— Ah! miss Jenny, pani mię uszczęśliwiasz! Czy nie mógłbym teraz prosić pana Forest...

— O nie! — żywo zawołała. — Ja sama ojcę wszystko opowiem. Mam w ogóle warunek do postawienia panu, do którego musisz się zastosować. Nie mogę zostawać narzeczoną przy łożu śmiertelnem ojca mego, nie mogłabym mu ani jednej godziny odebrać, aby ją poświęcić temu nowemu związkowi. Proszę więc usilnie, żebyś raczył zachować w tajemnicy to, cośmy tu mówili, przynajmniej względem osób obcych. Gdy pan wrócisz, możesz ogłosić całemu światu, że jesteśmy narzeczonymi, teraz zaś nie żądam pan odemnie żadnego z tych praw, jakie panu daje moje przyrzeczenie, nie mogłabym zadosć im uczynić — i nie chcę zresztą!

W tonie energicznym, z jakim było to „nie chcę“ wymówione, w pierwszej zaraz chwili po oświadczeniu, nie można było dopatrzeć najmniejszej czułości narzeczonej, oddającej się niejako przysłemu mężowi. Zrozumiał to i p. Alison, gdyż czoło jego zasepiło się i odrzekł z pewnem niezadowoleniem:

— Ciężki to warunek, który wkładasz na mnie Jenny! Pozwolisz mi przecie, żebym teraz podróż moją odłożył na czas późniejszy. Czyż mogę cię opuścić, gdy ci grozi cios srogi, a o ile mi się zdaje, nieunikniony?

Poruszyła głową zaprzeczająco.

— Dziękuję panu, ale nie potrzebuję żadnej podpory. To, co mię czeka — tu po raz pierwszy oczy Jenny zalśniły łzami i zacięła usta tłumiąc ciężką boleść — znieść potrafię i najlepiej sama zniosę. Żądam, żebyś pan nie odkładał podróży ani na jedną godzinę, a powrotu nie przyspieszał ani o jeden tydzień. Za rok zobaczymy się znowu, aż dotąd musi panu wystarczyć słowo moje, jak ja się twojem zadawałniam.

Podniósłszy się teraz, stanęła naprzeciw niego z wyrazem postanowienia tak silnego, że Alison dał za wygraną, widząc, iż daremnie byłoby chcieć walczyć z jej wolą nieugiętą; zrozumiał, że wcale podpory nie potrzebuje osoba tak śmiało w przyszłość patrząca, lecz trzeba wyznać, że mu dość łatwo poszło zgodzić się z tą wolą.

— Uszanuję więc twoje życzenia Jenny, chociaż mi to bardzo boleśnie. Nie wolno mi upomnieć się o inne prawa narzeczonego, może choć jednego nie zechcesz odmówić?

Jenny nic nie odpowiedziała, ale nie odsunęła Alisona, gdy obejmował jej kibić swoim ramieniem, aby złożyć na jej ustach długi, gorący pocałunek. Znowu oczy młodego człowieka błysły namiętnie, lecz gdy chciał powtórzyć pocałunek czulej jeszcze i goręcej, Jenny zręcznym ruchem wyswobodziła się z jego uścisku.

— Dosyć, Harry! Nie utrudniajmy sobie chwili pożegnania, przedłużając ją. Za rok zobaczysz pan znowu swoją narzeczoną, aż dotąd — milczenie!

Henryk cofnął się dotknięty do żywego tem zimnem, prawie lekceważącym postępowaniem. Rysy jego przybrały także dawny wyraz zimny i nieprzystępny, który Jenny ani na chwilę nie opuścił. Widocznie p. Alison był za dumny, aby narzucać się z czułościami tam, gdzie tego wcale nie żądano.

Wtem usłyszano zbliżające się kroki w przyległym pokoju; to spowodowało młodych ludzi zająć znowu pierwotne stanowisko: Jenny obok kominka, Henryk naprzeciw niej; gdy drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju ktoś trzeci. Był to małeńki, niemłody człowiek, mocno już szpakowaty, mający oczy bystre jeszcze, a przeszywające każdego z wyrazem drwiącej jakiejś ironii. I teraz spojrzął z uśmiechem złośliwym na młodą parę.

— Lekarz właśnie odjeżdża miss Jenny. Życzylaś sobie z nim mówić.

Jenny powstała szybko.

— Daruj panie Alison, ale muszę iść do ojca. Przygotuję go na pańskie odwiedziny dziś wieczór.

Podala mu rękę, silniej niż zwykle uściśnęła, spojrziała w oczy znacząco, a lekko skłoniwszy się jeszcze na pożegnanie, odeszła.

Gdy się za nią drzwi zamknęły, mały człeczek przystąpił do p. Alisona, a kładąc mu rękę na ramieniu:

— Winszuję — powiedział.

Młody człowiek zwrócił się żywo ku niemu.

— Czego? — ostro zapytał.

— Narzeczonej.

Młody człowiek zmarszczył brwi gniewnie.

— Zdaje się, panie Atkins, żeś raczył nas szpiegować?

Zagadniony w ten sposób, przyjął zarzut stoicznie.

— Może! Wiesz pan przecież, że ja nie należę do liczby tych obcych, przed którymi stosunek wasz ma pozostać tajemnicą.

Czoło młodego człowieka wyjaśniło się cokolwiek.

— Zapewne... stanowisz pan wyjątek, więc...

— Więc — dokończył Atkins — przyjm pan bez wahania życzenia moje. Trzeba przyznać, że wam poszło gładko i prędko — Chcesz mię? — Chcę ciebie! — rzecz skończona! za rok wesele — krótko, węzłowato aż miło! Żadnych niepotrzebnych przemów, zapewniań, sentymentalności! Całkiem w guście miss Jenny. Nasza nieboszczka pani, byłaby w rozpacz, gdyby była dożyła podobnego zaręczenia się córki.

Alison uśmiechnął się pogardliwie.

— Gdyby miss Jenny była w czemkolwiek do matki podobną, nie byłbym się pewno starał pozyskać jej względy i rękę.

— Masz pan słuszność zupełną! — rzekł sucho At-

kins — nie była ona wcale i w moim guście. Wiecznie chora, we łzach tonąca, głowa przewrócona! pełno sentymentalności a la Lamartine, bez którego zasnąć nie mogła! Zawsze któryś tomik musiał być pod poduszką — sceny byle o co wyprawiała, była jednym słowem nieznośną Francuską. Wreszcie umarła na tęsknotę za tą swoją Francją ukochaną! Szczęściem, że córka nic z tego całego kramu nie odziedziczyła po matce. Czysty ojciec! kropla w kroplę, jak to mówią.

— To prawda! A pana Forest nikt przecie o zbytęzną sentymentalność posadzić nie może.

— Teraz nie — odparł Atkins spokojnie — zdaje mi się jednak, że kiedyś to tam inaczej być musiało. Miał na tyle rozumu, że to i owo, czego my wcale nie potrzebujemy, za morzem zostawił. Gdy lat temu dwadzieścia pan Forest tu wylądował, musiała mu kochana ojczyzna porządnie dokuczyć, bo przywiózł z sobą dobrą porcję nienawiści do wszystkiego, co mu Francję przypominało. Unikał ile mógł stosunków z ziomkami, starał się przerobić na czystej krwi Amerykanina, przystał do nas najzupełniej, nawet nazwisko zamerykanizował — wiesz pan zapewne, że się właściwie Fournier nazywa — i odtąd żył po naszymu. To znowu żonie się nie podobało. Ona nigdy nie potrafiła wcielić się i przyzwyczaić do naszego kraju; to było powodem gorzkich scen, i wymówkom końca nie było! Gdy córka podrosła, jeszcze się pogorszył stosunek małżonków. Ojciec chciał mieć z niej Amerykankę i przeprowadził wolę swoją tem łatwiej, że miss Jenny była zawsze po jego stronie. To jej usposobienie zadało ostateczny cios sercu matki. Powiadam panu, okropne się tu sceny działy, okropne! przerażające chwile przeżyliśmy tu nieraz! Wreszcie pękło to serce. Pani Forest umarła — jak lekarze orzekli — na tęsknotę za krajem. Zrobiło się w koło nas spokojnie, a jednak boję się bardzo, że pan Forest mimo wszystkiego żonę nie o długo przeżyje.

Głos mówiącego stał się przy końcu poważnym i smutnym; nie było w nim nic z pierwotnej, prawie drwiącej ironji, od jakiej był zaczął. Alison, który dotąd słuchał w milczeniu, wziął kapelusz ze stołu.

— Słyszałeś pan, że mi zakazano podróż moją odkładać, istotnie ważne interesa powołują mnie do Nowego-Jorku. Jeżeliby zaszedł wypadek, którego się obawiamy, miss Forest będzie miała opiekę pana. Gdyby jednak — tu p. Alison spuścił głowę i zajął się gorliwie zapinaniem rękawiczek — w sprawie spadku miały zajść jakie trudności, mój ojciec będzie zawsze gotów służyć państwu swoim całym wpływem i znajomością w interesach. Byłoby to nawet stosownem, żeby się wdał w sprawy majątkowe przyszłej synowej, gdy ja przez moją podróż będę w tem przeszkodzony.

Ten sam drwiąco-ironiczny wyraz, co wprzód pojawił się w oczach Atkinsa, gdy dość złośliwie odpowiedział:

— Dziękuję! najserdeczniej dziękuję za tyle gotowości i uczynności z pańskiej strony! ale co bądź nastąpi, majątek z woli testamentu ojca w moim ręku zostanie i pewnie będzie wszystko w porządku. Pan, również jak jego ojciec, musicie jeszcze rok cały unosić się cier-

pliwością, póki miss Jenny wchodząc pod wasz dach, majątku wam do domu nie wniesie. Tymczasem niech panu wystarczy zapewnienie, że pan Forest jest bogatym, bogatszym może niżeli panowie sami się spodziewacie... Zapewne o to głównie panu chodziło; ztąd ta chęć gorąca wglądania w nasze stosunki majątkowe.

— Panie Atkins! zapominasz się! Jesteś nadto niedelikatnym i bezwzględny! — zawołał Alison drżąc z gniewu.

— Dla czego? — odparł Atkins z zimną krwią, która go nigdy nie opuszczała. — Czy pan moje powiedzenie bierzesz za przymówkę? Czy pan przypuszczasz, iż mógłbym pana posadzić o podobne szaleństwo, jakim byłoby niewątpliwie żenienie się bez majątku w chwili, gdy stosunki handlowe, które pan chcesz zawiązać w Europie, wymagać będą podwójnych kapitałów? Nie! panie Alison: miałem zawsze za nadto wysokie wyobrażenie o pańskim rozumie, żebym mógł posadzić pana o taką niepraktyczną czułościowość!

(C. d. n.)

W zimowej nocy.

Idzie z piosenką na ustach
Przez śniegu zasy zimowe,
I nie wie, gdzie mu wypadnie
Na nocleg położyć głowę.

Choć noc już ziemię pokrywa,
A wszędzie pustka w około —
On w swej samotnej wędrówce
Bez trwogi idzie wesoło.

Patrzy na pola zmrożone,
Na cieniem pokryte drzewa,
I nie przerywa piosneczek,
Lecz dalej tak sobie śpiewa:

„Tyś mi nie straszna, o nocy!
Chociaż mroki rozsiała
Tak gęste, jakbyś na zawsze
Nad światem panować miała.

„Bo wiem, że musisz nie długo
Przed słońcem uciec w otchłanie —
A dla tych, co się obudzą,
Zabłyśnie nowe świtanie.

„Ty mi nie zmroisz o zimo!
Serdecznych moich nadziei —
Choć ziemię pokrywasz martwą,
Całunem śnieżnej zawiei.

„Pomimo groźnej twej władzy,
Nie mogę zwątpić, że z wiosną,
Jeżeli nie mnie, to innym
Znów świeże kwiaty wyrosną.

„Ty mnie nie zwichniesz tak łatwo
Pozornym chłodem, o miła!
Choć mnie odpychasz za życia...
Choćbyś mnie wzgardą zabiła.

„Bo wiem, że prędzej, czy później,
Chwile niechęci przeminą —
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Moja ty piękna dziewczyno!

„Wy także ludzie przedemną
Próżno uczucia kryjecie...
Nie dam się złudzić pozorom,
Że serc zabrakło na świecie.

„Jak tylko technienia cieplejsze
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Ty chłodna, milcząca rzeszo!“

El...y.

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

Z ZACHODU NA WSCHÓD AFRYKI.

I.

Kim był Stanley i jak znalazł Livingstone'a.

O Livingstone'a przeszło półtora roku nigdzie nie nadeszła wieść żadna. O jego losach i wędrówkach przypuszczenia tylko tworzyć było można. Aż raz nadeszła do Zanzibaru, najsmutniejszego rodzaju wiadomość, oznajmiająca nagły, gwałtowny zgon sławnego podróżnika i przedwczesne zakończenie wyprawy, której tak wielkie nadzieje w całym cywilizowanym świecie towarzyszyły. Mieszkańcy wysp Joanny, których do noszenia ciężarów Livingstone wziął z sobą w podróż, wrócili z drogi do Zanzibaru a ich przewodźca, Arab Muza, opowiedział, że pan jego, na zachodnim wybrzeżu jeziora Niassa, w walce z dzikiem pokoleniem Mazitu poległ.

Gdy doszła do Anglii wiadomość o smutnym losie przedsiębiorczego męża, wielu nie straciło całkiem nadziei, iż Livingstone żyje jeszcze; owszem postanowiono zarządzić najtroskliwsze poszukiwania za nim, aby przynajmniej pewność pozyskać co do jego zgonu. W skutek starań towarzystwa geograficznego londyńskiego, urządzono w lecie r. 1867, małą ekspedycję, mającą na czele swoim C. D. Younga, który był niegdyś sternikiem okrętu Livingstone'a „Pionier.“

Zajmujący się urządzeniem tej ekspedycji nabyli żelazny statek, dający się rozkładać na części, któremu miano „Search“ nadano, i popłynęli na nim ku przylądkowi Dobrej Nadziei, gdzie Young i towarzyszy jego Faulkner zajęli się wyszukaniem i zebraniem potrzebnej dla statku załogi. 27. Lipca wpłynęli na rzekę Kongonę, wpadającą do Zambezi, skierowali się w górę Sziry i dosięgli 19. Września katarakty Murchisona, przez którą żadną miarą statek nie mógł przepłynąć. Rozkazał więc Young wybudować w tem miejscu chatę, zniósł do niej zapasy — i rozłożył statek na części. Dotąd szło wszystko wybornie, ani jeden z uczestników podróży, choćby przez jeden dzień nie był chory, w tym morderczym klimacie, na tej rzece jakby opasanej po obu brzegach angielskimi mogiłami. Stała przed nimi droga wzdłuż wodospadu, długa około 13 mil; i nią trzeba było każdą część statku,

każdy funt środków do życia na barkach lub na głowach najętych tragarzy przetransportować.

Wojna i rozbójnicze napady Mazitu wyludniły kraj cały, wszelki ślad rolniczej uprawy zniknął naokoło; a tu trzeba było dostarczyć codziennie dla 180 ludzi żywności!

Oprócz tego niezbędnem było zabezpieczyć sobie odwrót — i dla tego zawarto przymierze z naczelnikiem pokolenia Mankokwi, panującym wówczas nad Szirą, który, — gdyby go nasi podróżni nie byli pozyskali dla swoich zamiarów — wyrządziłby był im napewno mnóstwo przykrości. To jednak nie usuwało jeszcze bynajmniej wszystkich trudności położenia; ponieważ przedewszystkiem chodziło o znalezienie ludzi do przeniesienia ciężarów. Z wielkim trudem i biedą wyszukano ich wreszcie; lecz gdy wszystko już do pochodu w pogotowiu było — z tragarzy ani jeden się nie pojawił.

Czas bowiem w Afryce, nie ma żadnej wartości i leniwi krajowcy myśleli sobie: „dzień później, dzień wcześniej — to wszystko jedno.“

To jedno przynosiło w tak ciężkich okolicznościach otuchę, iż słycać było, że krajowcy w rozproszonych naokół wioskach zajmują się młóceniem i tarcieniem zboża w celu przygotowania mąki do potrzeb kuchennych.

Nareszcie 23. Września zjawilo się 200 tragarzy, w bardzo jednak podsycionem usposobieniu. Trzeba się było z nimi o koszta transportu umówić; a w takich warunkach stawało się to niezbyt lekkim zadaniem. Ładunek leży przed tragarzem, ten próbuje jego wagi, i puszcza się następnie w targ. „Dwa metry bawełnianej materji za przeniesienie tego ładunku aż za kataraktę.“ — Niepodobna! odpowiada czarny — i tu dopiero zaczyna się zaciekle targowanie, w którym cała rzecz chodzi o kilka centymetrów „calicot'u“. Wreszcie sprawa zdaje się skończoną, krajowiec bierze ładunek na barki, składa go jednak natychmiast na ziemię, stękając i jęcząc, z wykrzykiem: „Zabiłby mnie ten pakunek, gdybym postąpił z nim choćby tylko parę kroków dalej.“ Kilka jednak centymetrów bawełnianej materji dodanych łaskawie czarnemu, sprawia, iż ładunek, który mu się przed chwilą ciężkim, jak kula armatnia, wydawał, obecnie wydaje mu się mieć lekkość korka. I podobny targ trzeba nieraz powtarzać — ciężka próba nawet dla angielskiej cierpliwości.

Oprócz środków pożywienia, pakunków i rozmaitych innych sprzętów i przyborów, z 36 części statku, każda wymagała oddzielnego dla siebie tragarza. Dwaj ludzie dźwigali żagle, dwaj maszt i tak dalej. Samemi żelaznemi częściami statku 57 ludzi obładowano.

Nim wyruszył w drogę, rozkazał Young dwóm Krumanom (Negrom z afrykańskiej zachodniej pustyni) pozostać na miejscu — i 15. Listopada, skoro żadnej o nim, lub od niego nie otrzymają wiadomości, odpłynąć w dół rzeki, aż do ujścia Zambezi, gdzie miał przybyć 1. Grudnia okręt wojenny i zabrać z sobą ekspedycję Younga napowrót do kraju. Na przypadek zaś gdyby plemię Mazitu Youngowi odwrotu w dolinę Sziry nie dopuściło, po-

stanowił tenże próbować, czy mu się nie uda przebojem dostać się na wybrzeże wschodnie.

W pośród piekielnego skwaru, którego nawet krajowcy znieść nie mogli, wyruszono w drogę. Pomiędzy skałami, od których odbijało się słońce, — spieka tak się powiększała, jakby w pobliżu hutniczego pieca. Wszędzie wypaliło trawę — a nadto droga wiodła przez głębokie odtoki wody, przez wysokie progi skaliste i mnogie wzgórza.

Na całej drodze podróżni nie spotkali w pierwszych trzech dniach ani jednego krajowca — ale spotkali za to zgliszcza i ruiny setki wiosek. Tu i owdzie leżały nawet jeszcze szkielety, opowiadające smutne dzieje łowów na niewolniki, z lat 1862 — 1864, o których nam Livingstone szczegółowe opisy podaje.

Oprócz zapadnięcia się jednego z majtków w dół, zastawiony, jako zasadzka na bawoły, żadna inna osobliwsza przygoda nie przerwała jednostajnego pochodu posuwającego się wzdłuż Murchisona katarakty.

Dopiero 27. Września spostrzegli podróżni kilku Mangandzów na wyspie wśród Sziry; żaden z nich jednak nie ośmielił się zbliżyć i obcym żywność sprzedać — tak przepłoszono tych biednych ludzi. Cały ten kraj obecnie stał się wyłączną własnością bawołów, słoni i koni rzecznych.

Po 4½ dniowej podróży, podróżni wydobyli się z uciążliwej drogi i dosięgli Pomfundy, na wyższym krańcu katarakty Murchisona położonej. Young zebrał swoich tragarzy — i przekonał się, że osobliwem szczęściem żadnego kawałka z jego statku nie brakło. Rozpoczęto więc natychmiast składanie go, bo teraz już droga dalsza była otwarta i można nią było nurtem Sziry i przez jezioro Pamalombe dostać się z łatwością i bez przeszkody do jeziora Niassa.

Podczas gdy załoga, przy pomocy Makololów zajmowała się składaniem statku, pojawiło się naraz wielu Ajawów i Mangandzów z okolicy, powodowanych ciekawością, czarnym właściwą. Na wielki podziw Younga jeden z nich opowiedział, iż przed niedawnym czasem jakiś biały człowiek był na jeziorze Pamalombe i w zachodnim kierunku odpłynął. Ktoby to mógł być taki? Nie podejrzewając nawet tego — Young otrzymał od krajowca pierwszą wiadomość o Livingstone.

D. 31. Września statek spuszczone na wodę, ale Makololowie, którzy na nim wiosłować mieli, nie tego rozumieli się na swym zawodzie i nie okazywali wielkiej ochoty do towarzyszenia wyprawie; gdyż czem dalej się posuwali ku północy, tem okropniej rozbrzmiewały historie rozbójów, które sobie o Mazitu opowiadano — i to odstraszało Makololów.

Young jednakże zmusił ich do wytrwania na swem stanowisku — i statek pędził dalej w górę Sziry. I znowu usłyszał Young od krajowca, wylądowawszy pewnego razu na brzeg, zadziwiającą wieść, że przed niejakim czasem był we wsi Pomfunda, na jeziorze Pamalombe, jakiś biały. Myślano z początku, że był to Arab, ale czarni nazywali go „Angledi“ t. j. Anglikiem. Mógłże to być jednak Livingstone?

Przypuszczenie podobne zdawało się zaledwie możliwym; — wszakże miał zamiar udać się na północny kraniec Niassy — jakże teraz miałby przebywać na południowym.

Nim podróżni nasi dopłynęli do jeziora Pamalombe mieli starcie z krajowcami, które łatwo obrót nieszczęśliwy przybrać mogło, przez pomyłkę bowiem krajowcy wzięli ich za pokolenie Mazitu — i wyruszyli na ich spotkanie zbrojni włóczniami, łukami, strzelbami i tarczami. Dopiero po długim parlamentowaniu udało się Youngowi przekonać czarnych o swoich pokojowych zamiarach i uzyskać wolny przejazd na jezioro Pamalombe, na którym statek, mając pod sobą wielki obszar wody, miał sposobność dowieść, że jest tegim żaglowcem. Trudno było jednak, z powodu gęstych, zbitych mas łądyg papyrusowych znaleźć wyjście z jeziora, to jest ów punkt, w którym Szira w Pamalombe wpada.

Skoro podróżni przepłynęli ostatni kawałeczek rzeki, łączący Niassa z Pamalombą, ujrzeli przed sobą jezioro Niassa. Płynęli nim jeszcze czas nie długi, i na noc rozłożyli się na małej, skalistej wysepce Boazuru, gdzie bez obawy przyjaznego lub wrogiego natręctwa ze strony krajowców, przespać się mogli.

Siódmego Września skierowali się ku wschodniemu wybrzeżu, do którego dotąd żaden jeszcze statek europejski nie dotarł, bo nawet Livingstone w swojej wędrówce trzymał się tylko w bliskości tego wybrzeża.

(C. d. n.)

K O R E S P O N D E N C J E .

BITWA POD GRUNWALDEM.

Wiedeń d. 8. Grudnia 1878.

Przyjechawszy do Wiednia, milego doznałem wrażenia, gdy na rogu pierwszej ulicy, zobaczyłem wielkie ogłoszenie zawiadamiające publiczność niemiecką o wystawieniu w głównej sali Künstlerhauzu, najnowszego płótna Jana Matejki, na którym znakomity artysta przedstawił wiekopomną bitwę pod Grunwaldem.

Mimo licznych interesów, które mnie do stolicy Austrii nagle sprowadziły, wybrałem się do Künstlerhauzu niezwłocznie po przyjeździe. I nie samo pragnienie podziwiania nowego dzieła Mistrza krakowskiego, wiodło mnie na Ringstrasse; krokami moimi kierowało także uczucie mniej szlachetne, bo ciekawość: ażali prawdziwym był sąd bardzo wielu osób, które zapewniały mnie w Krakowie, że „Bitwa pod Grunwaldem“ jest utworem chybnym, z sądem powyższym łączył się również sąd krytyków niemieckich, którzy rozdrażnieni tematem, obranym tym razem przez artystę, odmawiają mu dziś nawet tych zalet, które mu dawniej jednogłośnie przyznawali.

Takimi zajęty myślami, wszedłem na górę po wschodach kamiennych.

Otwierają się drzwi — staję przed „Grunwaldem!“ Zaiste, żaden jeszcze obraz Matejki nie zrobił na mnie tak pełnego wrażenia, bo żaden jeszcze nie był tak pełnym arcydziełem. Jako człowiek, który sztukę nie od dziś badając, miał możność

i czas zapoznać się z jej tajemnicami, z całą stanowczością twierdząc, że „Bitwa pod Grunwaldem“ jest najznakomitszym utworem Jana Matejki, jest skończonem arcydziełem. Tylko ci będą zdania przeciwnego, którzy bądź nie rozumieją tego płótna, bądź tacy jak Niemcy, którzy Matejce dla tego nie chcą przyznać palmy pierwszeństwa, że tak niemiłosiernie zdruzgotał potęgę Krzyżaków, których oni uważają za „Kultartraegerów“ owych czasów.*)

Ale spojrzymy na płótno.

Zakon przez księcia Konrada Mazowieckiego w dobrej wierze przyjęty, wzmógłszy się w siłę i butę, wdzierał się coraz zuchwalej w granice Polski niosąc łupieństwo, pożogę i zdradę. Tak wyglądała „kultura“ Krzyżaków. Stosunki te trwały tak długo, dopóki znani z cierpliwości Słowianie nie powiedzieli sobie, że im za wiele tej kultury. Różne plemiona Słowiańskie, między niemi zaś głównie Polacy i Rusini, złączywszy się pod sztandarami króla Władysława Jagielly i Witolda, W. Księcia litewskiego, utworzyły jak na owe czasy armję olbrzymią, i w Lipcu r. 1410 wystawiły ją pod Grunwaldem do walki z Krzyżactwem nie mniej licznem, które pod wodzą W. Mistrza, Ulryka Junginga, pewne były zwycięstwa.

Opatrzność jednak inaczej zarządziła!

Przedstawiciele prawa, własności i obrońcy ziemi ojczyściej odnieśli nad swymi wrogami zwycięstwo zupełne.

Artysta pragnąc tę bitwę uwiecznić, wybrał chwilę ostatnią, kiedy to pod natarciem bohaterskich Polaków dowodzonych przez Zyndrama, i nie mniej walecznych Litwinów prowadzonych przez księcia Witolda, żelazne szeregi krzyżaków pęły, a teraz bronią się słabo zaledwie ich resztki, skupione dokoła swoich wodzów. Na te szczątki Witold nie zwraca już uwagi; one wkrótce polegą. Uniesiony szalem zwycięstwa, Książę na rumaku wyciągniętym, jak prawdziwy tryumfator, pędzi przez środek pobojowiska, aby czem prędzej zwiastować królowi wielkość nieprzyjacielskiego pogromu.

Podczas gdy Witold pędzi jak huragan, zwycięzki oręż do góry podnosząc, dokoła niego krwawa walka ostatnie wydaje tchnienia.

I oto na prawo wielki Mistrz, na koniu białym, w bogatym stroju białym, napadnięty przez dwóch pieszych i napół nagich Polan, traci prawie przytomność, i podczas gdy jeden z Polan chwyciwszy lewą ręką Mistrza za pas, prawą topór podnosi, a drugi włócznią nań godzi, wódz Krzyżacki jakby sobie nie zdawał sprawy z niebezpieczeństwa, które mu grozi, zasłania się cienkim rapirem. Rapir jednak pęknie, topór pierś mu rozpląta, włócznia serce przebije, i W. Mistrz Ulrich Junginga runie na ziemię. Runie, jak runął przed nim wielki Komandor, Konrad Lichtenstein, jak runął Konrad Biały, Książę Szlązki na Oleśnicy, jak runęli Jan Grabia, komtur Gniewski, Henryk, Komandor Tucholski i wielu, wielu innych.

Przed księciem Witoldem, Jan Zyszka z Trocniowa, ślepy na jedno oko, oparłszy nogę o komandora Tucholskiego, podniósł miecz, którym Niemca zdruzgoce. W górze obok Księcia, Marcin Wrocimowski uderza w róg bawoli, zwiastując zwycięstwo; obok niego Zawisza Czarny przebija włócznią Krzyżaka; dalej jakiś Tatar walczący w szeregach litewskich

*) W dniu przyjazdu mego do Wiednia, „Fremdenblatt“ uchodzący za organ partji dworskiej nie wahał się powiedzieć, że pod Grunwaldem uległa „kultura“ w walce z barbarzyństwem.

widząc, że pod Markwardem, komandorem Brandeburskim koń się powalił, zarzuca mu zrećnie lasso na szyję i rycerza w zbroi wspaniałej siłą ciągnie ku sobie; głębiej jeszcze od wodza na prawo, widać Jana Długosza ojca naszego kronikarza Domarata z Kobylan, Henryka Plauen, komtura Świeckiego, Krzysztofa, biskupa Lubeeńskiego, na samym zaś końcu u góry pod lasem zielonym, stoi na koniu Władysław Jagiełło w orszaku złożonym z Korybuta, Oleśnickiego, Trąby, Ziemowita i innych rycerzy.

Za plecyma W. Mistrza, na ostatnim planie po prawej stronie obrazu, pali się Tannenberg, gdzie był obóz krzyżacki, niżej nieco Skarbek z Góry usiłuje wziąć do niewoli księcia Szczecińskiego, Kazimierza, któremu konia młody łucznik zuchwale za cugle pochwyił; na dole leży staruszek, w stu bitwach posiwiiał, któremu dopiero pod Grunwaldem śmierć powieki zamknęła — a jeszcze niżej, tuż przed samym widzem, dwaj bezbronni dławią się na ziemi. Taka to była w onej bitwie zaciekleść!

Oto zaledwie setna część tego, coby można powiedzieć celem objaśnienia „Bitwy pod Grunwaldem“.

Lecz nam nie idzie o opis, który, chociażby najobszerniejszy, przy dziełach sztuki jest zawsze niedokładnym, słowami bowiem nikt tego nie opowie, co jedynie okiem można objąć a wrodzonym poczuciem piękna zrozumieć; nam idzie głównie o wykazanie, że jeszcze żaden obraz Matejki nie był tak pełnym, tak skończonym, jak właśnie „Bitwa pod Grunwaldem“.

(Dok. nast.)

LITERATURA POLSKA.

CHOROBY GALICJI w latach od 1866 — 1876 Serja I. i w latach od 1876 — 1878, Serja II. podpatrzone i opowiedziane przez dukata, napisał Józef Rogosza. Lwów 1876 — 1879. Nakładem F. H. Richtera.

W chaosie spraw politycznych i w ciągłej gonitwie za lekkiem produkcjami literatury, które jeno chwilową mogą sprawić przyjemność, przywykliśmy spotykać się co krok to z broszurą polityczną, to z powieścią, to wreszcie kiedy niekiedy z pracą historyczną lub literacką poważniejszej treści — ale książka wydarta z życia naszego, z naszych stosunków społecznych, jest rzadkością prawdziwą. Czy biedy nasze tak wielkie, że nie mamy odwagi zajrzeć im w oczy; czy lekkomyślność to nasza, że sami siebie widzieć i poznawać nie chcemy, nie wiem; ale to pewna, że z pewnego rodzaju zdziwieniem zobaczyliśmy drugą serję „Chorób Galicji“, ze zdziwieniem, z kąd bierze się odwaga autora do przykładania skalpela anatomicznego w nasze sprawy, od których ludzie pióra odwracają się, niewierząc swej dłoni, aby operacji dokonać mogła. Z niedowierzaniem zajrzeliśmy w książkę, bo trudno nam było wyobrazić sobie, żeby się w niej mieściły rzeczy z tytułem zgodne, a prawdziwe. Wszakże najtrudniej znaleźć prawdę tam, gdzie nikt jej nie szuka i znaleźć nie chce.

Otóż autor znaleźć ją umiał. Czytamy dzieło jego, jakbyśmy rzecz znaną czytali. Nie ma w niem rzeczy obcych dla wykształconego czytelnika w Galicji, wszystko wydaje się nam echem własnych wspomnień, własnych przekonań, a jednak nie można zaprzeczyć, iż dzieło Rogosza, ma wszelkie wymogi oryginalności. To, że je czytamy, jakby rzecz znaną, jakby

własny pomysł, świadczy o żywotności, o prawdziwości treści, jest największą zaletą książki. Nie jeden z nas patrząc na maszynę nowego wynalazku, dziwi się, dlaczego tak prostej rzeczy nie dokonał, lub czytając *Pana Tadeusza* pomyśli, że nie łatwiejszego, jak opisać ogród warzywny — a jednak owa maszyna może być wielkim wynalazkiem, *Pan Tadeusz* jest najznamienszą epopeją XIX. wieku, a książka też Rogosza, najuczciwszym bilansem społecznego mienia w moralnym i materialnym względzie.

Wprawdzie w serji I., razić mógł rozdział II. (Maskowani) zbyt zbytnią jaskrawością, a nawet przesadą. Autor sprzeniewierzył się sam sobie, bo pisał gorączkowo, a odszedłszy od pragmatycznego traktowania rzeczy, zanadto zaufał hipotezie; ztąd też ten rozdział uderza przesadą. W innych atoli rozdziałach Serji I. ustrzegł się zboczenia, a w całej Serji II. widoczna, iż korzystnie pozbył się niektórych uprzedzeń społecznych i politycznych, a stanął na gruncie zupełnie przedmiotowego traktowania rzeczy.

Rozdział: „Handel i przemysł“ to żywa fotografia przeszłości i dni dzisiejszych pod względem ekonomicznych stosunków kraju. „Na wsi“, gdzie poruszono sprawę ruską, jest obrazem nie tylko zdjętym z natury, ale w formie zajmującej, niejako traktatem politycznym głębokiego myśliciela. „Lichwa uprzywilejowana“ zdziera śmiało, z godziwą odwagą obywatelską, maskę z instytucji finansowej, podjętej z najbrudniejszej spekulacji, a pod pozorem filantropijnym.

Odsłaniając choroby, nie zapomina autor o lekarstwie i wszędzie też daje program jasny, dodatni, wedle którego można by polepszyć stosunki galicyjskie.

Nie można pominąć, że forma nader pojętna ugrupowaniem sytuacji i charakterów, a miła, powabna, bo lekka, język poprawny, potoczny.

Poprzestając na tej krótkiej notatce, kończymy słowa nasze uwagą, iż książka Rogosza zasługuje, aby ją nazwać nie tylko wyborem dziełem literackim, ale też dziełem zasługi obywatelskiej.

Dr. W. K.

POGADANKA.

Lwów tak jest przepelniony w tym adwencie mnogością niezwykłą koncertów, odczytów i prób tańców karnawałowych, iż niepodobna nie zacząć od nich, i przeprosiwszy za pominięcie mniej ważnych, nie wspomnieć szerzej o ważniejszych. Mieliliśmy odczyty p. Abakanowicza o wystawie paryskiej i najnowszych wynalazkach i odkryciach, wzbogacone licznymi doświadczeniami, które ściągaly mnóstwo ciekawej publiczności, a szczególnie płci pięknej. odznaczającej się u nas chlubnym zajęciem dla przedmiotów naukowych. Z odczytów tych zdały już sprawę dzienniki — nam więc nie pozostaje nic więcej, jak połączyć się z głosem ogólnym we wdzięcznym uznaniu zasług prelegenta, który poświęcił swoje trudy całkiem beziinteresownie, bo na korzyść towarzystwa imienia „Kopernika“. Mieliliśmy również odczyt p. Lama, „O siedmiu plagach lwowskich“ wygłoszony na przedstawieniu amatorskiem, na korzyść „Gwiazdy“ — odczyt, który ciekawi, a nieobecni w chwili jego wygłoszenia, znajdują w części literackiej „Haliczana“ kalendarza Szczutka, wśród innych, wybornych prac humorystycznych. Mieliliśmy odczyt

p. Dra Sawickiego, „O fizjologii i patologji uczuć człowieka w streszczeniu“ poświęcony na korzyść Towarzystwa „Bratniej pomocy Słuchaczy Wszechnicy lwowskiej.“

Szanowny prelegent wybrał nadzwyczajnie ciekawy temat i rozwinął go treściwie a z wielką jasnością i barwnością. Wskazawszy, czem się różnią trzy główne formy zjawisk psychicznych, zdefiniowawszy zwięźle znaczenie ich w naszym duchowym życiu — przeszedł do właściwego tematu swojej prelekcji t. j. do uczuć. Tu zajął stanowisko pokrewne raczej psychologom angielskim, niżeli pojęciom myślicieli niemieckich. Wskazał jak wiąże się ściśle przebieg wszystkich funkcji organicznych z uczuciami naszymi i jak dobry stan tych funkcji, a więc i zdrowia naszego, zależy od uczuć, które pobudzają funkcje, ożywiają cały organizm i utrwalają jego siłę życiową — a tamując je, mogą organizm do gruntu podkopać.

Z drugiej zaś strony wykazał zależność uczuć, ich siły i przebiegu od stanu fizycznego — i tym sposobem dowiódł wzajemnego, nierozzerwalnego związku tych dwóch czynników życiowych. Następnie zastanowił się szanowny prelegent nad podziałem uczuć według szkół: angielskiej i niemieckiej. Nauczelnicy szkoły niemieckiej jak Herbert i inni rozróżniają uczucia na formalne i materialne. Prelegent konstatuje pewną wartość tego podziału — ale się z nim nie zgadza, widząc w nim niedokładność. Znacznie więcej przechyła się do porównawczego systemu Spencera, który w swym rozbiórce uczuć cywilizowanych i dzikich narodów, dla dokładności porównania nie wyłącza nawet i uczuć u zwierząt. Na tej podstawie i szanowny prelegent opiera swój podział i rozróżnia 4 kategorie uczuć zasadniczych, które są właściwe wszystkim ludom, bez względu na stopień ich cywilizacji — (miłość, nienawiść, gniew) ostatnia zaś kategoria (litość) razem z cywilizacją zwykła się pojawiać.

Odczyt ten był jednym z najbardziej interesujących w tym adwentowym sezonie i na nim zamknijemy już wzmiankę naszą o odczytach, notując tylko, że pani Felicja z Wasilewskich Boberska zapowiada także odczyty z literatury powszechnej i estetyki, ale mające się odbywać w jej mieszkaniu, a zatem zapewne głównie przeznaczone na materiał przygotowawczy dla kandydatów do przyszłych egzaminów wydziałowych.

Koncertów było bez miary. Kasyno dało ich dwa — na uczczenie rocznicy przeniesienia się do nowego gmachu — i drugi na „opłatek“ dla ubogich — a urządziło także wieczorek muzyczny. Na rozmaite cele dobroczynne rozmaite towarzystwa amatorów, bądźto pod przewodem p. Dyr. Mikulego — bądź pod kierunkiem p. Marka, najczęściej z powodzeniem, dawały publiczności produkcje swoje wokalne i instrumentalne. Nie będąc w możności zdania sprawy, przy szczupłych ramach tej kroniki, ze wszystkich, ograniczamy się na podniesieniu szczegółowym, najwydatniejszego z nich: pierwszego, w tym sezonie zimowym koncertu Towarzystwa muzycznego — który się odbył w obec bardzo licznie zgromadzonej publiczności. Program jego stanowiły przeważnie dzieła klasyczne.

Bethovenowa uwertura (C. dur) z opery Fidelio rozpoczęła tę biesiadę muzyczną. Następnie odspiewały dwa chóry mieszczańskie Volkmar „O filii et filiae“. Kompozycja ta napisana w stylu średniowiecznym religijnym, à la Palestrina, uroczyste i wspaniałe robiła wrażenie... Publiczność nasza widocznie jednak jest za mało jeszcze przygotowaną do słuchania dzieł klasycznych — bo przyjęto tę produkcję na podziw nasz dość

chłodno. Laury dnia tego zbierał p. Rudolf Schwarz, pod którego mistrzowskiem dotknięciem, wyborne organy p. Jana Śliwińskiego, czarodziejską zachwycali słuchaczy melodją. Pierwszy utwór wykonany przez p. Schwarza: Girolamo Frescobaldi, Preambulum (1685.) sięgał w zbyt wysokie sfery religijnej inspiracji, aby mógł być przystępnym dla całej publiczności. Dalej dał p. Schwarz zadziwiający dowód swej biegłości i panowania nad organami, tym zaiste najtrudniejszym z instrumentów, — wyszedłszy zwycięzko z Sebastjana Bacha „Toccatą“ mimo wszystkich trudności mechanicznych, jakie ten utwór przedstawia. P. Schwarz wykonał go z dziwną swobodą, łatwością i precyzją — za co zebrał zasłużoną burzę oklasków od zachwyczonej publiczności.

Symtonja (G. moll) Mozarta uwieńczyła godnie tę piękną uroczystość muzyczną. Przewodny końcowy „Menuet“ wywołał oklaski bez końca... Wykonanie było przepyszne! Zakończyła ten koncert pamiętny Gounoda parafraza pieśni „Super flumina Babylonis“ — wykonana przez chór z akompaniamentem orkiestry. Ustęp tej kompozycji trzymany *unisono* — ze śpiewem na tle instrumentów dętych, szczególnie się publiczności podobał. Wszyscy wyszli w podniosłym usposobieniu — jak się to zwykle dzieje po czystych i szlachetnych wrażeniach prawdziwie klasycznej muzyki.

Ze świata tej klasycznej muzyki musimy przeskoczyć od razu w wrzącą atmosferę walców i mazurów, rozbudzających w młodzieży żywy apetyt na bliski już karnawał. Z pomiędzy nowych utworów, któreśmy słyszeli na próbach tańców — podobały się szczególnie nowe utwory p. Tymolskiego, mianowicie mazur „Bolesławita“ polka „Serafina“ i walce wyborne których nazwy jużemy zapomnieli. Wszystkie te utwory poświęcił p. Tymolski J. I. Kraszewskiemu na uczczenie jego jubileuszu.

Mówiąc o jubileuszu Kraszewskiego, zanotować tu musimy że Czesi wspaniałą ucztą w „Zofijskiej sali“ w Pradze, uczcili naszego jubilata. Na uczcie tej z Połaków znajdował się p. Asnyk (El. .y) którego przyjmowali nasi pobratymcy z odznaczeniem i gorącą sympatją.

Prócz tego przetłumaczyli Czesi powieść Kraszewskiego „Resurrecturi“ na swój język, a Spanhel, jeden ze znanych pisarzy czeskich, kończy obecnie przekład „Chaty za wsią.“ Zewsząd sypią się objawy najgłębszego uwielbienia dla jubilata. Mława, miasto w Płockiem, nadała ulicy jego nazwisko, — Warszawa nosi się z podobnym zamiarem, ale dotychczas dwa projekta walczą w prasie: pierwszy, aby pozbawić Brähla prawa zatytułowania ulicy, która dotyka do jego pałacu, i nadać jej imię tego, co tak pysznie maluje brühlowskie czasy; drugim zaś jest myśl zaszczytowania nazwiskiem jubilata małego placu na Mokotowskim, przy którym Kraszewski przemieszczał się.

Wspominając o jubileuszowej uroczystości nie możemy pominąć jubileuszu, który się odbył u nas 8. b. m. na uczczenie czterdziestoletniej pracy w zawodzie leśnym p. Henryka Strzeleckiego, dyrektora szkoły leśnej. Myśl uczczenia tego czci godnego męża, podniósł komitet, na czele którego stał p. Włodzimierz hr. Dzieduszycki, W skład komitetu weszli prof. Wszechnicy, dr Radziszewski, jako wice - prezes — Stroner Adolf, jako skarbnik i Dr. Z. Romer, jako sekretarz. Dzień 15. lipca był pierwotnie wyznaczonym na tę uroczystość, jako data w której szanowny jubilat rozpoczął swój zawód — ale nieprzewidziane

przeszkody kazały ją odroczyć do 8. Grudnia. Różne znakomości i publiczność zaprosili uczniowie do gmachu szkoły leśnej, gdzie, o 12 w południe, zgromadziło się przeszło 200 osób w pięknie udekorowanej sali, przyozdobionej biustem jubilata, wykonanym przez prof. Marconiego. W liczbie gości znajdowali się: Członek Wydziału krajowego Dr. Wereszczyński, — radca Namiestnictwa Dr. Orlecki, Rektorowie i profesorowie obu akademij — p. Abrahamowicz Dawid i wiele innych dostojnych osób. Rozpoczął szereg mów, p. Posemkowicz, uczeń szkoły leśnej, podziękowaniem gościom za łaskawy udział — i podniosłszy zasługi jubilata pełnemi zapału słowy, wręczył mu wieniec z laurowych liści. Następnie pięknie przemówił do jubilata p. Dr. Stanecki, professor Wszechnicy — a p. Strzelecki odpowiedział na jego mowę.

Każde przemówienia przedzielone były produkcjami wokalnemi, które wykonywał chór galicyjskiego Tow. muzycznego pod przewodnictwem p. Cetwińskiego.

Nie podobna nam szczegółowo wymieniać tutaj wszystkich mowców, którzy przemawiali przy tej sposobności, zresztą byłoby to zbyt cennym, gdyż jak słyszymy, wyjdą wszystkie mowy ogłoszone na tej uroczystości, w oddzielnej broszurze.

W wieczór urządzono na cześć jubilata bankiet w sali Towarzystwa „Frohsinn“ do którego zasiadło przeszło 100 uczestników. P. Strzeleckiego, przy wejściu do sali, powitał imieniem komitetu w pięknej mowie p. dr. Radziszewski, jako wiceprezes, ofiarując mu przepyszne album, oprawione mistrzowsko w pracowni p. Wierzbickiego, — na pamiątkę i na dowód, że licznych posiada w kraju przyjaciół, umiejących cenić jego charakter i zasługi. Kolejno potem wznosili toasty: Dr. Radziszewski, w imieniu komitetu — p. Reichard, dyrektor lasów hr. Alfreda Potockiego, P. Dawid Abrahamowicz, podnosząc zasługi jubilata w Towarzystwie gospodarskiem, podczas gdy w niem sprawował urząd wice-prezesa — Dr. Zagórski, z wykazaniem zasług jubilata na pedagogicznem polu; dalej Dr. Orlecki, z naciskiem na zasługi p. Strzeleckiego w obec całego kraju — Br. Gostkowski inżynier, przeprowadziwszy nader zręcznie ścisły związek istniejący między technikiem a leśnikiem, wniósł toast w imieniu tow. technicznego „Kopernik“ — p. Stroner w imieniu towarzystwa pryw. oficjalistów — p. Hirsz (dyrektor lasów księcia Adama Sapiehy) jako dawny uczeń. Wreszcie p. Dr. Stanecki wniósł toast na cześć opiekuna i protektora szkoły hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Wznoszono jeszcze liczne toasty i przemowy. W czasie uczyt odczytano nadesłane listy i telegramy z powinszowaniem dla jubilata a było ich mnóstwo od znakomości rozmaitych i od licznych przyjaciół czcigodnego jubilata.

Bankiet zakończył się pięknym czynem, bo składką na stypendjum imienia Henryka Strzeleckiego dla ucznia szkoły leśnej.

Wszyscy wyszli z sali biesiadnej, podniesieni i skrzepieni na duchu, widząc jawnie, że pocziwa praca i prawdziwa zasługa nigdy nie idą na marne!

Na zakończenie tej pogadanki przytaczamy z nowin teatralnych, iż na konkurs dramatyczny imienia Fredry na rok 1879 dotychczas nadesłane zostały następujące sztuki: 1) Murzynek komedja w 3. aktach, 2) Komedia bez tytułu, kom. w 3. aktach, 3) Wanda i Rutygerus, kom. w 5. aktach wierszem; 4) W starym piecu djabeł pali, kom. w dwóch aktach, 5) Na bezdrożach życia, komedja w 4. aktach, 6) Kantor małżeństw. kom. w 3.

aktach. Fundusz konkursowy stanowi kwota 900 guldenów, z której 600 guld. przyznanych będzie najlepszej komedji, wypełniającej cały wieczór; a 300 guld. drugiej po niej, najlepszej komedji, bez względu na liczbę aktów. Notabene! Termin ostateczny do nadsyłania utworów ustanawia się do 1. Lutego 1879. Spieszcie się panowie konkurenci ambitni — bo czas nagli!

Drugą nowiną jest, że p. Bossi, która tak oczarowała naszą publiczność — postanowiła dawać lekcje śpiewu, paniąkom mającym już dobre początki. Cóż za nauczycielka! Metoda jej i koloratura, którą wszyscy tak dobrze znamy i cenimy, są dostateczną gwarancją najświetniejszych rezultatów. Avis aux lecteurs!

*

Gdy pismo to dojdzie do domów waszych, czytelnicy łaskawi, gwiazda Narodzenia Zbawiciela świata, jaśnieć już będzie cudownym blaskiem nad niemi — a wielka cisza w sercu waszem i głębokie a rzewne religijne wzruszenie w duszy waszej, śpiewać będą z chórami Aniołów: Chwała Panu na wysokościach a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

Przyjmijcież nas przyjaznem sercem w tej uroczystej chwili, i przyjmijcie serdeczne życzenia nasze, które wam z tem pismem razem zasyłamy!

OKRUSZYNY.

LITERATURA. — SZTUKA. — WIEDZA.

— Karol Gutzkow, autor wielu utworów dramatycznych wielkiej wartości a między nimi „Wzoru do świętoszka“ i „Uriela Akosty“, znanego u nas z przepyszego przekładu Mikołaja Bołozza Antoniewicza — jak donosi depeza z Frankfurtu, zakończył życie. Gutzkova miejscem urodzenia był Berlin, gdzie przyszedł na świat dnia 17. Marca 1811 r. Poświęciwszy się studjom również w Berlinie — słuchał z początku teologii i filozofji, później jednak poświęcił się wyłącznie prawu i umiejętności handlowej. Po roku 1831 zajął stanowisko opozycyjne, jako dziennikarz i to zawiodło go do więzienia w Mannheimie. Mianowany dramatykiem teatru nadwornego w Dreźnie po r. 1838 tam dopiero począł występować z utworami swemi oryginalnemi. Miejsce jego w literaturze jest w pośród najznakomitszych dramaturgów i belletrystów Niemiec.

— W tych dniach wyszła na widok publiczny biografia Artura Grotgera, obrobiona przez p. Klemensa Kanteckiego z całkiem nieznanymi dotąd materiałami, obfitująca wielce w interesujące szczegóły, rzucające pierwszy raz prawdziwe światło na życie i rozwój duchowy genialnego malarza poety.

Pracę tę omówimy szczegółowiej na właściwem miejscu, w najbliższych zeszytach „Strzechy Ojczystej.“

— Karol Emil Francoz, osławiony oszczerca Polaków, a szczególnie Galicji, znany ze swoich szkiców z Podola galicyjskiego, p. t. „Aus Halb-Asien“ pełnych tendencyjnego fałszu i nacechowanych najgrubszą nieświadomością stosunków, staje się coraz bardziej sławnym za granicą. Jego powieść „Der wilde Starost und die schöne Yuta“ przedstawiająca kwestję żydowską w Galicji, jako martyrologję ludu wybranego, została przełożoną na język francuzki. Jego powieść skandaliczną „Sultan“ osnutą na tle polskiem — rozchwytało w Pa-

ryżu. Niecne jego nowelle drukuje skwapliwie „Revue de deux Mondes“ — a czytelnicy tego pisma znajdują w nich szczególnie upodobanie... Obecnie zaś donosi „Ueber Land und Meer“ — że zwrócił się na pole dramatyczne i że wiedeńskiemu „Stadtteater“ wręczył obrobioną przez siebie komedię Gogola „Rewizor“ znaną i u nas; zaś „Illustrierte Zeitung“ podnosi z chluby, iż wszystkie jego powieści zostały obecnie przełożone na język duński. Jak to złe ziele rozrasta się i buja!

— Dyrekcja Tow. Przyj. Sztuk pięknych, zakupiła do losowania następujące obrazy: 1) Świerczewskiego „Krajobraz z nad brzegów Wisły, przy świetle księżyca“ wartość 250 zł., 2) Sidorowicza „Droga do wsi“, wartości 200 zł.; 3) Szolca „Osada nad parowem“ wartości 160 zł.; 4) Maleckiego „Miaściczko w Galicji“ wartości 170 zł.; 5) Gottlieba „Głowa męzka“, studjum z natury, wartości 150 zł.; 6) Kossaka akwarelę „Stara studnia“, wartości 200 zł. i 7) Jaroszyńskiego „Tatrzańscy górale“, wartość 250 zł. Oprócz tego losować się będą także innych towarzystw premje. Przy tej sposobności dyrekcja przypomina, że losowanie odbędzie się 31. Grudnia i uprasza wszystkich członków i agentów, aby jak najrychlej, a na każdy sposób przed terminem uiszcili w kasie Tow. należytość za pobrane akcje; gdyż niezapłacone po dzień 31. Grudnia r. b. akcje, wykluczone będą od losowania.

— P. Józef Szujski i p. Michał Bobrzyński, wkrótce wydadzą podręcznik historii polskiej. Istotnie brak takiej książki dawał się dotkliwie czuć — a współka tak zaszczytnie znanych pracowników, każe nam wierzyć, że dzieło ich odpowie najwyższymi wymaganiami.

SZKOLNICTWO.

W Sztokholmie 14. Października otwarto uniwersytet wolny. Zebrana suma na jego utrzymanie dzisiaj już wynosi 820,000 koron — a jeszcze ciągle nadpływają nowe ofiary. Jak słychać i Gothenburg pragnie mieć podobną wolną Wszechnicę.

PAMIĄTKOWE OBCHODY I POMNIKI.

— Obchód jubileuszowy dwusetnej rocznicy Odsieczy Wiedeńskiej stanowi ciągle przedmiot narad wybranej w tym celu komisji rady gminnej miasta Wiednia. „Wedle Fremdenblatu“ komisja ta, między innymi uznała w zasadzie, iż pomnik, który ma stanąć na cześć obrońców Wiednia, nie tylko będzie poświęcony pamięci tych, — jak pierwotnie proponowano — którzy aż do nadejścia odsieczy zdołali miasto obronić od tureckiego napadu, ale wszystkim owym osobistościom historycznym, które wzięły udział w pełnym chwale dziele odsieczy, mianowicie królowi Janowi III., Sobieskiemu, księciu Lotaryńskiemu i burmistrzowi Liebenbergowi.

WYNAŁAZKI I ODKRYCIA.

— Edissona elektryczne pióro. Nie upłyne jeden tydzień bez jakiegoś nowego wynalazku Edissona. Najnowszą rzeczą, jaką wynalazca telefonów i fonografów obecnie wymyślił, jest elektryczne pióro. Pióro to jest wydrążoną obsadką formy zwykłego ołówka, która za pomocą luźnego, to jest nie sztywno naprężonego druta, z motorem elektrycznym w związku stoi. W tej obsadce, wyglądająca z jej ostrego końca, igła się znajduje. Kolejne przerywanie i wznowianie elektrycznego prądu, podnosi stopień natężenia motora do nie do wiary pospiesznego ruchu

i nadaje igle odpowiednie wertykalne położenie. Podczas gdy pisarz tą obsadką po papierze przesuwając, igła przebija papier z taką szybkością, iż w przeciągu jednej minuty 6 do 7000 drobniusiękich dziureczek pod nią powstaje, które naturalnie drogę opisaną przez obsadkę dokładnie oznaczają. Ta operacja daje delikatnie dziurkowany arkusz papieru, który się zaraz w specjalnie do tego przygotowane ramy wkłada. Papier albo materiał, który ma być zadrukowanym, kładzie się na dokładnie równą szyfrową płytę; rama z modelem na nim, a walec posmarowany farbą drukarską, przeciska tę farbę przez owe małe dziurki na leżący pod nim czysty papier. Tym sposobem powstaje dokładna podobizna oryginału. Do dwóch tysięcy odbitek w ten sposób zrobić można i to z taką łatwością, iż mały chłopiec co godzinę odbije 200 do 300 egzemplarzy. W drukowaniu okólników, cenników, wiadomości targowych, nie maszynie tej nie wyrówna. Zresztą daje się ona również dobrze używać do rozmnożenia egzemplarzy planów, rysunków maszyn, rysunków drzew i krajobrazów przez proste pociąganie obsadką po liniach przygotowanego już planu lub rysunku. Nie potrzeba bynajmniej szczególnie wyćwiczonej ręki do „pisania“ tym przyrządem.

— Nowy karabin. Jak donoszą dzienniki węgierskie, skonstruował zegarmistrz Wirtz w Wadowicach karabin, z którego można z łatwością dać 40 do 50 strzałów na minutę, przy bardzo prostym zresztą mechanizmie zegarkowym.

PRZEMYSŁ I KOMUNIKACJE.

— Belgijczyk Wanters, który przed kilkoma tygodniami za dzieło swoje traktujące o komunalnych swobodach otrzymał wielką nagrodę 25.000 fr. od Akademii belgijskiej, ogłosił obecnie nową, jedyną w swoim rodzaju pracę pod tytułem: „Les tapisseries bruxelloises“ (Obicia i dywany brukselskie), w którym kładzie nacisk na fakt, że gobelinowe dywany i obicia są utworem wyłącznym Niderlandów. Tam to powstały owe arcydzieła w swoim rodzaju, o których pochodzeniu zapomniano, a które wspaniała ozdoba mnogich świątyń, zamków, znakomitszych domów w wielkich miastach, w całej Zachodniej Europie tworzyły.

— Nowa wystawa. Zamiar włoskiego rządu uczęszczania Europy nową międzynarodową wystawą, przybierać się już zaczyna w pochwytną, dotykającą formę. Medjolan ma być miejscem tej wystawy. Zanim się jeszcze ona sama wykuliła, już urodziła organ dla siebie: „Ecco del progresso“. Organ ten oznajmia pomiędzy innymi, że główne zabudowanie obejmie obszar 300 metrów kwadratowych, w pięciu piętrach. Niezbyt jednak, jak się zdaje, pociągać będzie zagranicznych turystów ta przyszła medjolańska wystawa, gdyż organizatorowie jej mają podobno zamiar główną część obecnie wystawionych jeszcze w Paryżu na Marsowym placu przedmiotów, po prostu przenieść do siebie i w Medjolanie na nowo na pokaz wystawić.

— Kolej przecinająca dolinę Indusu została w Październiku otwarta. Łączy ona bezpośrednio Karadschi, port przy ujściu Indusu z Lahorą.

— Anglia przeciągnęła właśnie obecnie podmorski drut telegraficzny do Cypru.

Rozmaitości.

Zajęcia człowieka i długość życia. Zbytecznym byłoby dowodzić że zawód, czy też zajęcie człowieka, bardzo doniosły wpływ na długość jego życia wywierają. Zamiarem naszym jest tylko, w tej krótkiej notatce najwięcej skłonność do chorób i największa przedwczesna śmiertelność, każde jednak zatrudnienie, każdy zawód, ma także pewne właściwe sobie oddziaływanie usposabiające do pewnych chorób.

W tych warstwach społeczeństwa, w których ustaje wszelki regularny zarobek, gdzie nędza w całym swoim okropnym majestacie panuje, okazuje się naturalnie największa skłonność do chorób i największa przedwczesna śmiertelność, każde jednak zatrudnienie, każdy zawód, ma także pewne właściwe sobie oddziaływanie usposabiające do pewnych chorób.

Jeżeli się rzuci okiem na długi szereg różnorodnych rzemieślników, to szczególniej krawcy okazać smutną przewyżkę śmiertelności; bo gdy przeciętna cyfra śmiertelności pomiędzy cukiernikami wynosi tylko 25 procent, między rzemieślnikami innych rzemiosł 46 dochodzi, na krawców przypada 67 procent. Przyczynę tego widzą uczeni badacze częścią w tej okoliczności, że już z natury słabi i chorowici ludzie wybierają ten zawód; już też, że zły układ ciała przy pracy, zbytne dosiadywanie na jednym miejscu, brak czystego powietrza do wywołania tego smutnego stosunku się przyczyniają. Grasuującą, prawie chroniczną chorobą między krawcami, pochodzącą z delikatnego pyłku wełnianego, który wciąż spada im na skórę, jest świerzb. Najstraszniejszą jednak dziesiątkującą ich suchoty płucne. Godną jest także uwagi skłonność krawców do chorób umysłowych i zbroceń moralnych. Wedle Glattera sąd wiedeński od 1850 — 1864 z tysiąca krawców, ukarał za obrazę majestatu 35, za profanację religii 7, za kradzież 56, za sprzeniewierzenie 83, za bankructwo podstępne 55. etc. Daleko gorsze jeszcze stosunki zdrowotne panują między kobietami oddającymi się krawiectwu, a maszyny do szycia, nogą poruszane, wielce do chorobliwego ich stanu się przyczyniają.

Podobne stosunki między zawodem a stanem zdrowia, jak u krawców, znaleźć można i między szwecami, cierpiąciami szczególnie, z powodu rodzaju swojej pracy, na żołądkowe przypadłości, których ofiarą 67 procent ludzi należących do tej profesji pada. A również i w szwecach pokazują się szczególne psychiczne zbrocenia, objawiające się jużto popędem do poezji, już też do religijnego marzycielstwa.

W szpitalu dla obłąkanych w Paryżu stanowią szewcy podwójny kontyngens, w stosunku do ludzi innych zawodów, do szpitala obłąkanych przyjętych. Przypisują te zbrocenia przyniesieniu wątroby, spowodowanemu szczególniej pozycją przy siedzeniu z pocięciem na nogach. U wielu, należących do tego rzemiosła, wpływ na nich ich rodzaju życia uze-

wnętrzni się rozwojem temperamentu chole-rycznego.

Za daleko by nas to zaprowadziło, wyliczać wszystkie choroby właściwe zawodowi tkaczy, farbiarzy, robotników w fabrykach ołowiu, fosforu, arsenu, szklanych i w innych rzemiosłach, a które w cytowanym dziele są szczegółowo wymienione, ze zbadaniem ich przyczyn. My ograniczymy się tutaj jeszcze na zanotowaniu tylko niektórych ciekawych szczegółów. I tak interesującym jest faktem, że 26 procent piwowarów a 23 procent piekarzy ginie na konsumpcję. Najzdrowszem ze wszystkich zajęć okazuje się ogrodnictwo.

Pomiędzy pracownikami umysłowymi największą długością życia cieszą się duchowni. Z wolnych zawodów tworzą duchowni i doktorzy ostateczny kontrast; z tych ostatnich ledwo trzecia część dociąga 60 lat życia

Co się właściwego naukowego świata tyczy, wedle obrachunku Maddena, z pewnej liczby mniej lub więcej sławnych uczonych, żyło w przecięciu: przyrodników 75, filozofów 70, prawników 69, doktorów 68, romansopisarzy 62, dramatycznych i innych pisarzy 62 i poetów 46, do 57 roku.

Wesoły ludek który przeciąga po deskach sceny, podlega wielu chorobom. Namiętności i wzruszenia wszelkiego rodzaju, wywołują nagle i niebezpieczne u tych ludzi choroby. Do wad muzyków — należy popęd do spirytualnych napojów — i nie jeden mistrz tonów padł ofiarą delirium tremens. Szczególnem jest zjawiskiem, że wielu muzykom przytępia się słuch, lub że go zupełnie tracą. Szczególniej oddziaływanie muzyki na ich własne nerwy, wedle zdania doświadczonych lekarzy, jest rozdrażniające w najwyższym stopniu. Muzyka działa przez ucho na mózg i mlecz pacierzowy, tem mocniej, czem więcej nerwy są naprężone wewnętrznymi wzruszeniami, wyobraźnia rozpalona inspiracją.

Tancerze i tancerki chorują najczęściej na sercowe przypadłości i na suchoty.

Dowcipna odpowiedź. — Doktorze, rzekła do swego lekarza pewna gadatliwa dama, której się bądź cobądź chorą być chciało, — Doktorze musisz mi koniecznie coś przepisać. — Ależ nie ma potrzeby, odrzekł doktor, dotknąwszy się pulsu pacjentki, pani nie brakuje nic, tylko trochę odpoczynku. — Popatrzże jednak na mój język — zawołała żałośliwie pacjentka, wywieszając, co chciała pokazać. — A! język pani — odpowiedział lekarz, wpatrując się weń uważnie — o, ten najwięcej potrzebuje odpoczynku!

Biedne ptaki. Jedno z lipskich czasopism donosi, że pewien tamtejszy sklep strojów i galanterijnych towarów, otrzymał ogromną ilość wypchanego ptactwa a mianowicie 32,000 kolibrów, 800,000 ptaków wodnych, 300,000 skrzydeł ptasich, — a to wszystko na ozdobę damskich kapeluszy. I paryskie żurnale zwracają na to również uwagę, że kapelusze ustrojone wypchanem ptactwem, poczynają znowu wchodzić w modę. Londyński dziennik

Sportowy „Land and Waters“ dodaje jeszcze do tej wiadomości, że nie tylko europejskie kobiety tyle pozbawione są serc i poezji, iż pozwalają, domagając się od kupców tej ozdoby, barwnych, bożych spiewaków masami mordować dla tak marnego powodu — ale że ten sam szkaradny obyczaj i pomiędzy murzynki się już woiska powszechnie — i że nie długo czekać będzie trzeba, na wyniszczenie prawie zupełne kolibrów. Gdy przed kilku laty podobna manja pojawiła się w Niemczech, znany ornitolog, Dr. Karol Russ, w piśmie „Der gefiederte Welt“, podniósł pierwszy gromiący głos przeciw takiej potworności, takiemu grzechowi w obec przyrody. Głos jego znalazł echo potakujące po licznych wielkich publikacjach, i wnet się ta dzika manja z głów Niemek ulotniła, bo każda przywoita kobieta poczęła się wstydzić noszenia wypchanego ptaka na głowie. Pozostawiono puszenie się tym strojem dwuznacznym pięknościom. Dr. Russ odwołuje się dziś znowu do serc i szlachetnych dusz wszystkich kobiet i dziewczę w Europie, ażeby się broniły przeciw tej barbarzyńskiej, wstrętnej, pozbawionej wszelkiego smaku modzie — i tym sposobem powstrzymały kupców i przemysłowców od masakrowania milionami różnorodnego ptactwa — bo tym, co tego nie uczynią, nie przyniesie bynajmniej zaszczytu, ani szczęścia, iż dla nasycenia ich próżności, miliony rzeźwicy, rozweselających wzrok, słuch i duszę, a razem pożytecznych prawdziwie ptaszków, wyginą.

Co dziewczęta wedle wieku swego śpiewają?

Od 12 — 16.

„O widać, słyhać w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie,
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek
Jak wschodzą wesoło i ładnie!“

Od 16 — 18.

„O mój najmilszy,
Rękę mi daj!
A razem sobie
Stworzymy raj!“

Od 18 — 20.

„Pocałunek jego — nektar boski,
Jako płomień chwycił się z płomieniem,
Jak dwóch lutni splatają się głoski
Harmonijnem ożenionem brzmieniem.“

Od 20 — 25.

„Ku zachodniej patrzę stronie
W pośród nocnej mgły,
Żadna gwiazdka tam nie płonie.
Nudno, tęskno mi!“

Od 25 — 30.

„Ratunku! ratunku!
Albo umrę z frasunku!“

Od 30 — 40.

„Ciężka ma samotna droga,
Los mój cały w rękę Boga!“

Od 40 — 50.

„Ach, jak nędznie — jak szkaradnie!
Jakże los mnie zawiódł zdradnie!“

Od 50 — 60.

„Ach jakże mię życie nuży!
Nie! już nie wytrzymam dłużej!“

Treść: Do czytelników polskich. — Złamane serca, powieść. — Szermierz pióra, powieść. — W zimowej nocy, wiersz. — Najnowsze podróże Stanley'a i Cameron'a. — Korespondencje. — Literatura polska. — Pogadanka. — Okruszyny. — Rozmaitości.